

B L U S Z C Z

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 27 GRUDNIA 1930 ROKU

NR. 52

TREŚĆ NUMERU: Narodziny idei — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Choinka na piątym piętrze — *Wanda Grabińska*. Poezje: „Na pochwałę święta” — *Lucyna Krzemieniecka*. Rozrywki przedświąteczne pani Niuški — *Eugenja Kobylińska-Masiejewska*. Gorące kasztany — *Aura Wyleżyńska*. Wycieczka do Matarieli — *M. Gabriel Karski*. O kolendach — *Paula Lamowa*. Na marginesie Zjazdu Historyków — *Dr. Marja Kuźmińska*. Obrazki świąteczne. Kobieta w świecie i w domu. Rozmyślenia wigilijne — *W. D.* Zabawki ludowe — *L. R.* Ceramika Kernerówny — *S. P. O.* W noc Sylwestrową — *Pani Elżbieta*. Z Koła Studjów Gospodarstwa Domowego — *W. D.* Premje dla Czytelniczek „Bluszcza”. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Przybrania futrzane — *Well*. Dodatek powieściowy: „Smaragd” — *Alice Duer Miller*. Arkusz wzorów.

Wszystkim naszym Czytelniczkom, Współpracowniczkom i Przyjaciołom naszego pisma przesyłamy serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne.

Redakcja.



NARODZINY IDEI

Każda twórczość ma w sobie coś radosnego i coś boskiego. Niedarmo mówi się potocznie o „iskrze bożej”, która roznieca ogień zapału, wprawia w ruch wszystkie władze ducha ludzkiego i tworzy cuda.

Idea poczyna się zwykle z bólu, ale narodzinom jej towarzyszy zawsze uśmiech Boga, choćby jej wzrostowi miał towarzyszyć Boży gniew, a klęsce — ludzka pogarda.

Pytanie: dlaczego tak wiele idei, poczętych w źródłach uczuć najczystszych, u krynic najgłębszego i, zdawałoby się, niezawodnego myślenia, skierowanych potem prężną wolą w łożysko konsekwentnych urzeczywistnień — przy ujściu zmienia się w płytkie rozlewisko, zamulone najohydniejszymi odpadkami ludzkich namiętności, zionące zgnilizną, zepsuciem, jadem śmierci? Dlaczego posiew Praw Człowieka wyrósł żądłem gilotyny; dlaczego hasła wolności, równości i braterstwa mają, jak medale, odwrotne lica, na których wypisana jest przemoc, bezprawie i nienawiść; dlaczego rzesze, rzekomo spragnione rosy niebiańskiej, tak szybko zmieniają się w stado ludzkich zwierząt, tłoczących się u złoju, gdy ta rosa zaczyna zakwitać manną?

Czyż w samej istocie każdej idei tkwi zaród jej kresu, rdza, która ją zjada, robak, który ją toczy? Czy takie jest niezłomne prawo ewolucji, aby to, co miało dawać życie, szerzyć musiało śmierć i zniszczenie, czy może jest to poprostu klątwa, ciężąca nad wszystkimi poczynaniami człowieka, a która się nazywa „słabością natury ludzkiej”?

Mniejsza o to; faktem jest jednak, że rzeczywistość — to wklęsłe zwierciadło, które najpiękniejszą ideę wypaczy, a najidealniejsze jej oblicze zdolne jest zmienić w potworną maskę. Faktu tego jednak, po jego stwierdzeniu, nie wolno nam minąć obojętnie. Jeżeli wszystko się doskonali, upraszcza, wyjaśnia i analizuje, to i nasz stosunek do idei powinien być poddany gruntownej rewizji, jeżeli nie mamy w tej dziedzinie pozostać i nadal takimi barbarzyńcami, jakimi dotąd jesteśmy.

Na czym polega nasza jaskiniowość w traktowaniu idei? Na absolutnym braku tolerancji w stosunku do niej i autokrytycyzmu wobec siebie samych, szczególnie w momentach, kiedy dochodzi do krótkiego spięcia pomiędzy nami, a nią; inaczej mówiąc — kiedy jej koło rozpędowe zahacza o nasze prywatne interesy

i naraża na szwank wrodzony nam kwietyzm i upodobanie wygody. Ale trudno! Idea — to często taki nieproszony gość, który wdziera się przemocą do domowych zaciszy i do najbardziej izolowanych separaetek egoizmu indywidualnego i wymiata z nich bez ceremonji wszystko to, co jej staje na drodze.

Tak! Idee bywają zazwyczaj bezwzględne, często brutalne i despotyczne. Tak samo zresztą, jak i ludzie idei. Nie uznają sprzeciwu i oporu, łamią i kruszą, jeśli czegoś nie mogą zgiąć; depcą i tratują, jeśli czegoś nie uda się obejść. I dlatego na ludziach t. zw. normalnych, przeciętnych, dokładnie zmechanizowanych, sprawiają zawsze wrażenie wybuchu, zamętu, przewrotu i chaosu.

— Rewolucja! — krzyczy w ich duszy przestrach paniczny, a to poprostu nowa idea zabłysła nad światem. Nowa idea, która może rozświetlić mroki, a niekoniecznie stać się pożarem, o ile na jej drodze nie nagromadzimy w niewczesnej przezorności materjałów łatwopalnych, które zając się mogą poprostu od tarcia.

Niestety, ludzkość częściej grzeszy nadmierną gorliwością w tamowaniu naturalnych prądów ekspansji, jakie tryskają z każdej nowej idei, niż pochopnością w skierowywaniu ich we właściwe łożyska. Nadmierne ciśnienie skończy się zawsze wybuchem, a zbytne ograniczanie prowadzi do zerwania tam. Idee — to klapy bezpieczeństwa w wielkim kotle ludzkości. Zamknijmy je, a kocioł pęknie. Ale współcześni mechanicy społeczni niechętnie dają upust nagromadzonej parze. Zato hojnie szafują alarmowemi świstkami. „Staczymy się po pochyłości!... jesteśmy nad przepaścią!... kroczymy do zguby!“. Społeczeństwo żyje ciągle pod grozą i w oczekiwaniu jakiejś piekielnej syreny, oznajmiającej ogólną klęskę.

Nasza epoka, która dla dobra państw wynalazła najskuteczniejsze środki masowego mordowania, a dla dobra ludzkości sposoby ograniczania potomstwa, nie lubi wogóle nadmiaru. Od nadprodukcji idei broni się tępota umysłu i zautomatyzowaniem życia. Zabija je jeszcze przed urodzeniem. Może dlatego mamy tak dużo idei poronionych, idei-podrzutków, idei niewiadomego pochodzenia.

Jakiż jest ich początek? Zwykle powstają one w głowie genialnych marzycieli, abstrakcjonistów, samotników, przepalonych do dna żądzą prawdy. Spoczywają nieraz lata całe na odludziu, matowe i nieme, jak perły na pustyni. Aż kiedyś natrafi na nie jakiś kuglarz społeczny, odkryje ich blask i dźwięk. Jak

piłkę, rzuci ideę ponad głowy tłumu. Stoczy się po pochylni mas świetlista kula. Po drodze nasiąknie ludzką krwią, potem i łzami, napęcznieje buntem, narosnie krzywdą, jak lawina. Stanie się straszakiem i przynętą, jadem i lepem. Z abstrakcji przerodzi się w realny żer dla tłumu, z wulkanu w pyroksylinę, z chleba zgłodniałych dusz w strawę dla armat, z ożywczego ozonu w iperyt, z gwiazdy w pochodnię w ręku podpalacza. Taka jest zazwyczaj karjera idei. Dlaczego?

Oto dlatego, że mamy już wprawdzie towarzystwa „Ratujmy niemowlęta“, i „Krople mleka“, i instytucje opieki nad dziećmi opuszczonemi i moralnie zaniedbanemi, ale nikt nie czuwa nad kołyską nowonarodzonych idei. Idee bez kultury są, jak dzieci bezdomne. Chowają się na ulicy. Wyrastają na nędzarzy, włóczęgów, bandytów i zbrodniarzy. Stają się zakałą społeczeństwa, zamiast być jego podporą. W atmosferze spelunki wyrodnieje rasa ludzka i wyrodnieje rasa idei. Idea do swego prawidłowego rozwoju potrzebuje, jak dziecko, środowiska czystego i pogodnego, atmosfery życzliwości i zrozumienia.

Czy stać nas na taką atmosferę wychowawczą? Czy raczej nie jesteśmy skłonni każdą nową ideę witać conajmniej pogardliwym wzruszeniem ramion? Istnieje jakieś instynktownie wrogie nastawienie do nowych idei, coś jakby milcząca przeciw nim zmowa à priori. Staramy się za wszelką cenę opóźnić ich dojrzałość, skazać je na dożywotnią pauperyzację i bezdomność, obciąć im skrzydła, zanim się zdążą rozrosnąć. Jakże często ludzie idei przypominają nam andersenowskiego łabędzia między kaczetami! Traktuje się ich, jak wyrzutków społeczeństwa, społeczeństwa o ptasich mózgach. A potem załamuje się ręce nad ich krańcowością, która jest niczem innym, jak śmiałem rzutowaniem w przyszłość.

W młynie codziennej walki o byt obrosły nasze sumienia społeczne pyłem i pajęczyną. Wartoby puścić na nie jakiś ideowy odkurzac, żeby się doskrobać do ich istotnej powierzchni, przejrzeć je i prześwietlić nawskroś, aż do dna. A po dokonaniu takich niezbędnych porządków przedświątecznych, nie zaszkodziłoby uprzytomnić sobie faktu, że Chrystus wprawdzie raz tylko narodził się na ziemi, jako Człowiek, ale zato rodzi się codzień w sercach naszych w postaci szlachetnych odruchów, czystych uczuć, wielkich i świętych idei. Niewiadomo co z nich jutro wyrośnie. Za ich byt i przyszłość my jesteśmy odpowiedzialni.

Nie każdemu z nas danem jest być im Janem Chrzcicielem — starajmy się przynajmniej nie być im Herodami.

Stefanja Podhorska-Okolów.

NASZA OKŁADKA

Na okładce dajemy reprodukcję mało znanego obrazu Leonarda da Vinci: „Madonna z Dzieciątkiem“.

WANDA GRABINSKA

CHOINKA NA PIĄTEM PIĘTRZE

— Mróz!

— O hej, wiwat! Mróz!

Mała postać wygrzebuje się z pod stosu pierzyn i kołder, spiętrzonych w nogach dużego, drewnianego łóżka, odrzuconych bezładnie przez starszych, co już dawno wstali i poszli gdzieś do swoich zajęć.

I nagle z pośród białoczerwono-różowej piramidy wyrasta niemożliwie potargana, jasna czupryna i dwoje żywych, błękitnych oczu, chciwie biegnących do małego wylotu okna.

— Mróz! Całe szyby pokryte lodem!

A więc pewno — tam na dole — w podwórzu leży śnieg, chrupiący pod nogami, biały, jak cukier, i zimny, jak lody. Śnieg, przyjaciel dzieci ze wszystkich pięter.

Więc Tadka już „ponosi“, żeby „polecić“. Przedtem jednak rozgląda się roztropnie po pokoju, jak wódz ze środka twierdzy, badając teren przyszłego wypadu.

Poranny bezład. Nie posprzątane. Na stole niepomyte naczynia z wczorajszego obiadu. Matki nie ma, a więc mieszkanie zamknięte. I tak nie będzie można wyjść. Czy więc warto wylazić z łóżka? Tu przynajmniej ciepło. Tylko, że jeść się chce. Trzeba coś wymyślić na śniadanie. Oczy Tadka błędzą po pokoju. Hurra! Na stole stoi talerz z zimnymi kartoflami, a na półce widać wyraźnie niedojedzony kawał „pytła“. Żeby jeszcze coś do picia!

Tadek ześlizguje się z łóżka. Ściąga czerwoną kołdrę i owija się w nią. Wygląda teraz niechybnie jak król w płaszczu gronostajowym. Albo może to być również ociekająca jeszcze krwią skóra dzikiego zwierzęcia, zabitego właśnie na polowaniu przez wodza czerwonoskórych.

Kartofle na zimno nie są wcale takie złe, jak się je posoli, a później długo trzyma pod językiem, żeby się ocieplily, nim wejdą do żołądka. Z chlebem jest gorzej, bo jest okropnie zeschnięty. Trzeba koniecznie czemś popić.

Na pustyni też się tak zdarza, że się ma okropne pragnienie; umierają i ludzie, i wielbłądy, a tu nic i nic, ani kropli wody. Tylko, że tam jest wtedy bardzo gorąco. Tadekowi, naodwrot, jest bardzo zimno, ale to właściwie, jest to samo. Tylko kołdrę trzeba przewrócić na odwrotną stronę i założyć na głowę, bo arabowie mają przecież białe burnusy.

Iść jest ciężko tak owiniętym, ale komu lekko jest wędrować po pustyni? Oto zabłąkany beduin dosięga już oazy — kuchenki, gdzie na kominie — być może — znajdzie się wczorajsza zupa.

Wtem trrr-ach! Trzask klucza w drzwiach. Ciężkie kroki. Nieprzyjaciel wkracza przedwcześnie!

— Tadek! Skaranie boskie, co ty robisz? Oszałał ten chłopak, czy co? Czysztą pościel po mieszkaniu rozwlóczył! Ledwom wczoraj powłokła! Ty draniu!

I na głowę króla w gronostajowym płaszczu, wodza indjan w skórze dzikiego zwierza i spragnionego kropli wody beduina, posypał się stek przekleństw, a na plecy energiczne kulaki.

Otóż są i krople. Krople łez. Ciepły i słony napój upokorzenia i bezsilności.

— Ubieraj się! Czyż nie wiesz, że to dziś wigilja?! Zamiast pomóc matce, łobuzujesz się. Zupel-

nie — ojciec. Niedaleko jabłko pada od jabłoni. A ty człowieku haruj, siły zdzieraj...

— Prawda! Dziś wigilja!

Strumienie łez ustają, powstrzymane tajemniczą siłą magicznego słowa. I nagle matka, chodząca zamasyście po pokoju ze szczotką, przesuwająca tu i tam sprzęty i ściągająca z nich mokrą ścierką warstwy szarego kurzu, staje się osobą najważniejszą, od której wszystko zależy, która trzyma w swym ręku cały los „Bożego Narodzenia“. Tylko nie wiadomo, czy lepiej o tem mówić, czy nie mówić. Bo z matką, to nigdy nie można być pewnym, co ją rozzłości. Nie — chyba lepiej nie mówić. Matka dzisiaj taka zła. Pewno się wczoraj wieczorem znowu kłócili. Dobrze, że spał.

— Mamo.

— Czego?

Tadek chce powiedzieć, że u Kowalszczaków jest już od dwóch dni choinka, ale zamiast tego mówi:

— Mogę polecić?...

— Na podwórze? Ani mi się waż. Pójdiesz ze mną do miasta.

Do miasta? O, nieoczekiwana, radosna nowina! Gdzie jest kosz? Ten? Nie — jeszcze większy! To ci musi być dziś rwetes na targu!

A matka nachyla się nad łóżkiem i sięga ręką głęboko pod siennik. Wyjmuje coś. Ach, to portmonek. Chowała tam matka pieniądze po powrocie z każdego prania, w tajemnicy przed ojcem.

Idą teraz razem ulicą prędko i pewni siebie. Matka patrzy na chłopca jakoś inaczej, niż zwykle, jakby się uśmiechała.

Na chodniku tyle ludzi! Śpieszą się i wymijają w przeróżne strony. Albo stoją przed wystawami i długo się namyślają. Tadek też chętnie zatrzymałby się przed niejednym sklepem, ale matka idzie prędko, że ledwo można ją dogonić.

Żelazna brama. O — jak tu ciasno! Z trudem można się przecisnąć. Każdy tłoczy się do straganów, rozpychając innych łokciami, dbając tylko o siebie.

Ze skleconych bylejak drewnianych półek błyszczą wspaniale różnokolorowe kule na gwiazdkę. Kobiety w grubych kozuchach unoszą w górę ponad głowami przechodniów pęki jaskrawych, sztucznych kwiatów. Mali chłopcy przeciskają się wszędzie, wrzeszcząc piskliwie: „złoto! złoto! złoto na choinkę!“ Z otwartych sklepów płynie zapach śledzi i ryb. Do wnętrza „Wielopola“ wpływa i wypływa czarna masa ludzka; słychać stamtąd zmieszany, ostry gwar głosów, jak brzęczenie pszczół w wielkim ulu.

Ocieżałe od ludzi tramwaje złoścą się niecierpliwymi dzwonkami; dorożkarze napróżno wołają swoje — O - o - ej!, a zahamowane taksówki napróżno ryczą zachrypniętymi głosami. A w to wszystko — raz po raz wpadają ostre krzyki przekupniów, walczących zajadłe o każdego przechodnia: „Do grzebieni, do grzebieni! Do koronki! Do szaliki!“

Tadek jest ogłupiały, przerażony, zachwycony. O — to nie zdarza się często!

Matka kupuje to i owo — i śledzie, i ciastka, i kwiaty z piór, i śliwki suszone; kłóci się o wszystko zajadłe, a później wrzuca do wielkiego kosza i idzie dalej, rozpychając się łokciami tak, jak wszyscy.

Dochodzą do błyszczących straganów.

— Na, masz — powiada matka — wybierz sobie, a później kupimy choinkę.

O, wybierz sobie, jak to łatwo powiedzieć! Przed chwilą to te złote kule były najładniejsze, a teraz to i niebieskie tak ślicznie świecą, ale na choince, to czy nie najładniejsze byłyby czerwone? A i tę i tę, czy matka kupi? Jest zimno, ale Tadek ma wypieki. Wyciąga rękę i mówi:

— Ta, ta i ta... i ten orzech, i ten krasnoludek... i sześć świeczek i...

Potem znowu matka klóci się zapamiętałe, a kupcowa przerzuca grubymi rękami kule ku przerażeniu Tadeka. Przecież one są takie cienkie... A jak je teraz przenieść? W koszyku się stłuką — więc kupcowa daje pudełko z trocinami i Tadek idzie teraz przez tłum, kopiąc wszystkich i roztrącając, żeby mu go nie pognięli. Wreszcie przebrnęli na choinkowy plac. Tu jest cudownie. Jak w prawdziwym lesie. I tak śmiesznie, że to w środku miasta.

Choinki są strasznie drogie, matka się pokłóciła z kupcem i chce odejść.

— Mamo — powiada Tadek z płaczem — może tę malutką? — On sam wolałby większą, ale jak nie można...

Matka się krzywi i wymyśla, że choinki są tylko dla państwa. Kupiec ustępuje. I wreszcie kupują. Tę malutką. Matka się teraz śpieszy. Zgarniają wszystko. Przebijają się przez tłum. Idą do domu.

Nareszcie ich kamienica. Tadek przechodzi przez podwórze z dumną miną. Ach, nie ma dzisiaj czasu na latanie. Na to piąte piętro, to się idzie bez końca.

— Mamo, nie męcz się, ja zaniósę choinkę.

Oto i są w domu. Teraz można się zabawić w Stasia z wypisów polskich. Dla Stasia choinka — to nie pierwsza. Otrzymuje przy tym zawsze mnóstwo ładnych prezentów, a przeważnie konia na biegunach, piłkę i książkę. Tadek wolałby dostać straszaka i rower. Napewno nie dostanie, ale można chociaż przez chwilę sobie to wyobrazić.

Matka pozwala ustawić choinkę na środku stołu na obrusie, a Tadek-Staś zawiesza na niej, co może.

Teraz jest już wszystko gotowe.

Na dworze zrobiło się tymczasem zupełnie ciemno. Białe płatki śniegu fruują za szybą. Matka krząta się w kuchni. Tadek zapala na choince jedną różową świeczkę — dla oszczędności. Czy też matka pozwoli po kolacji przyjść dzieciom z przeciwka? Zaśpiewaliby wszyscy tę kolendę, której się nauczyli w szkole. Matka, jak matka, ale ojciec. Która to już godzina? I dlaczego jeszcze nie przyszedł? Jak późno wraca, to zawsze potem...

Ach, już się nie można „bawić w Stasia“. Jest czegoś tak smutno, i bardzo samotnie. I niema tego komu opowiedzieć. To najgorsze.

W sieni słychać ciężkie kroki. Tak, jak rano. A potem łomotanie we drzwi. Wchodzi ojciec, uderza nogami w podłogę raz, dwa — raz, dwa. Otrząsa śnieg z kożucha.

— Idź do sieni, nie rób tutaj błota! — woła matka.

— Do sieni! Tybyś mnie zawsze za drzwiami trzymała, wolałabyś, żebym wcale do domu nie wrócił, co?

— Zaczyna się — myśli Tadek i dla pewności chowa się za komodę.

— Hamuj się! Czy choć raz nie możesz się zachować, jak człowiek?

— Jak człowiek?! A cóż to ja dla pani hrabiny jestem? Patrzcie ją! Pies?!

Silne kopnięcie drzwi, ojciec wchodzi do pokoju, ma twarz czerwoną i nabrzmiałą. Matka się wsuwa za nim z lampą naftową w rękę. Oświetla nią oczy ojca i krzyczy:

— Znowu jesteś pijany, co? No, powiedz odrazu, przepiłeś znowu wszystko?

— A tobie co do tego? Moje, czy twoje?... A to co?! choinka... patrzcie ich! A ty to pieniędzy nie wyrzucasz? I skąd je wzięłaś, co? Mówiłaś wczoraj, że nie masz ani grosza? Co?

Twarc mu się skurczyła gniewem. Usta wykrzywiły. Matka stoi błada z opuszczonymi rękami, nic nie mówiąc. Jakby wiedziała, że już teraz wszystko jedno, że cokolwiek powie — będzie jeszcze gorzej...

A ojciec, siny ze złości, chwyta ją za ramiona i potrząsa:

— Skąd masz pieniądze? Gadaj! To nieczysta sprawa! Dawno cię podejrzewam! Ja przepijam, a ty masz na zbytki? Ach, ty...

— Oh! zaczęło się...

Tadek wciska się w kąt, jakby chciał uciec przez ścianę. Skulił się, zamknął oczy, zatkał uszy palcami. Ale mimo to dochodziły go, jak zwykle, rozpaczliwe krzyki matki, szamotania się, stuki.

...Sam nie wiedział, jak długo to trwało... Gdy odważył się wytknąć głowę, w pokoju było już ciemno. Ojciec leżał na łóżku. Tak w ubraniu i w zabłoconych butach leżał na różowej, świeżej kapie. Ręce rozkrzyżował, chrapał... Był już bezpieczny do rana. Tadek wychodzi ze swojej kryjówki. Co to — gdzie choinka? — Ach!.. Choinka leży na ziemi, pogniecioną, zdeptaną... Wszystkie kule pobite... I ta złota... i ta niebieska i... Tadek ma oczy szeroko rozwarte ze zdumienia i żalu... Oh — nie może nawet płakać... Teraz nie może. Stoi chwilę, później leci do drzwi. Otwiera je z zatrasku i pędem zbiega w dół po wąskich drewnianych schodach.

Na podwórku jest biało i pusto — tylko we wszystkich oknach jarzą się światła. Zato w bramie pełno chłopaków. Prawie wszyscy z piątego piętra. I Józiek... i Stefek... i Kazik... kto by tam policzył! Grają w guziki. Więc Tadek się przyłącza. Drzwi od bramy zamknęli, żeby nie wiało i nawet nie jest wcale tak zimno, tylko nos okropnie marznie. Ten i ów opowiada, co jadł na kolację.

O — i Kowalszczak przyszedł. Tadek podsuwa się do niego. Szepcze:

— Ty masz choinkę, prawda? poco tu przyszedłeś?...

— Ja, choinkę? Zwarjowałeś?

— Jako, przecież sam widziałem... taką dużą?

— E... głupi! To z pierwszego piętra dali tatu-siowi, żeby krzyżak do niej dorobił... więc stała u nas przez dwa dni...

W związku z opowiadaniem „Choinka na piątym piętrze“ otrzymaliśmy od p. Wandy Grabińskiej — sędziego Sądu dla Nieletnich — następujący komunikat:

„Tow. „Opieka Specjalna nad Dziećmi“ przy Sądzie dla Nieletnich m. st. Warszawy urządza w dniu 28 grudnia b. r. gwiazdkę dla dzieci, pozostających pod opieką Towarzystwa i dzieci, które bądź nie miały wcale „choinki“, bądź nie przeżyły Świąt Bożego Narodzenia podniosło.

Wszelkie dary na ten cel w gotówce, odzieży, książkach i zabawkach przyjmowane są w lokalu Towarzystwa (Sąd dla Nieletnich—Plac Krasińskich Nr. 12—tel. 618-03) codziennie od godz. 10 rano do 5 pp. Na żądanie Tow. przysyła po odbiór rzeczy zaofiarowanych.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

NA POCHWAŁĘ ŚWIĘTA

Matka wreszcie ma oczy wesole,
nie zaplacze dziś, nie zajęknie.
Nowy obrus bieleje na stole,
jak spełnione marzenie o pięknie.
Matka wreszcie ma twarz uśmiechniętą,
gdy makowce ustawia na stół.
Błogosławion, któryś stworzył święto
i cudowne prawo kontrastu.

Ojciec rano na stare buciska
ponakładał tuziny lat.
Teraz siedzi, zapomniał o wszystkim,
stwarza cacek barwisty świat.
Jaka radość niezmierna gra w duszy,
gdy kolory płyną do rąk!
Żeby tylko nie spłoszyć, nie skruszyć!...
przecież cacka łatwo się gną.
Jaka błogość odbija się w oczach:
raz do roku, tak — tylko raz,

można stroić świerkowe warkocze
w korowody błyszczących gwiazd.

Dzieci mają wiarę upartą.
Dla nich drzwi od sieni otwarto.
Drzwi, które z daleka, z raję
weszła bajka o Mikołaju.
Dzieci wierzą: na schodach, w mroku
tam, trwa jeszcze szmer jego kroków.
Myślą sobie o tem najprościej:
przyszedł święty, po mglanym moście.
Podróż była niebieska, długa,
sam im w niebie zabawki strugał.

Dzieci patrzają, nie wiedzą wcale,
że gdy sięgną drzewku do ramion,
drzwi te same szare, spróchniałe
żadnej, żadnej bajki nie skłamią.



EUGENJA KOBYLŃSKA-MASIEJEWSKA

ROZRYWKI PRZEDŚWIĄTECZNE
PANI NIUŠKI

— Zrozumiałaś, Maryśka, o co chodzi?...
— Ot, jakby i rozumiem. Ale niebardzo... Zna-
czy się uszki będziemy robić w kruchej cieście. I naco
oni w kruchej? Nie robiła ja ich tak. Lepiej zwy-
czajnie.
— A ja chcę w kruchem. Nie gadaj, na miłość
boską! Pan inne uszka wyrzuciłby ci za kołnierz.
— Ach jej! Nu, niema co, niechaj i w kruchej...
— Ryba w galarecie. Szczupak. I trochę sma-
żonej. To potrafisz?
— I zamrużyszysia, zrobia!
— Makowe mleko zrobisz?
— Ani... ni! Nie wiem!
— Fajtlapa!
— Takżeż pani powie, jakby co?
— Hm!... Pojęcia nie mam. Zobaczmy do książ-
ki. Najgorzej z ciastem. A gadałaś, że wszystko umiesz.
Gapa! Tylko kłopot z tobą. A tu jeszcze pan pisał, że
zaprosił swego kolegę, wielkiego smakosza. Właśnie
udelektuje się twojem pitraszeniem!
— Kuźda pani mnie dotychczasowo powiedzia-
ła, jak i co. A u pani nic człowiek dowiedzieć się nie

może. Mnie już na sercu obojętnie od tego, ja też, zdaj-
sie, honor swój mam.

— Dawaj książkę — mruknęła poruszona pani
Niuška. — Tę czarną. Podobno starzy ludzie umieli
gotować, a to najstarsza z tych, jakie posiadam.

Uzbrojona w mądrość prababek, mieszcząca się
w niedużej książeczce, pani Niuška odrzuciła nogą lu-
pinę od kartofla, zezując gniewnie w stronę spraw-
czyni tego nieporządku i odeszła wyniosłe z kuchni.
Szukała spokojnego miejsca dla ułożenia menu ju-
trzejszej wieczery wigilijnej. Po ułożeniu się na
kanapie w saloniku, pani Niuška obejrzała z początku
książkę od zewnątrz.

— Hm... „Sekreta gospodarskie“ przez p. Teresę
Twarowską, rok wydania 1877. No... no! Jest i przed-
mowa... Patrzcie państwo! „Cesarzową Józefinę za-
szedł Napoleon, gdy smażyła jakiś omelet na patelni“...
(Zuch baba, ta Józefina. Ale nie o to chodzi). Roz-
dział II. „O zabawianiu gości przy stole“. „Gospody-
ni domu wiele tu uczynić może z właściwym kobiecie
wdziękiem“. (Czy ja mam wdzięk? Pytanie!). „Żeby
nie przeszkadzać sobie, niech zawczasu powie loka-

jom, jak chce, żeby było podane“ (fil fil). „Jeżeli ich jest kilku“ (oho!) „niech wskaże każdemu, czego ma głównie pilnować. Lokaj powinien stać spokojny i baczny“ (dreszcz mię przejmuję!). „Liczba lokai stosuje się zwykle do ilości gości“... — tu pani Niuśka zachłysnęła się ze wzruszenia i pochłaniała dalej rewelacyjne szczegóły: „W kredensie chłopak“ (Jezu! jeszcze jeden!) „powinien ciągle podczas obiadu zmywać talerze i sztućce, zwłaszcza, jeżeli niema dużo srebra w domu“. (Srebra? O ironjo! Po ileż płaciłam te swoje nędzne „gerlachy“?). „Wina podają burgundzkie, szampańskie, madery, bordo“. (A owocowe nie łaska?). „Bordo potrzebuje być przyniesione z piwnicy na parę godzin przed obiadem“. (Dobra sobie! Co jeszcze?). „Kawa czarna i likwory różne, jak maraskino, kiuraso lub anisette“ (co za obiecujące nazwy!).

— Uff... Nie, to nad moje siły! — rozpaczala pani Niuśka. — Ale nie należy się zrażać przedmową. Chodzi o ryby... No, gdzie te ryby? „Szczupak z ostrygami“ fe! „Szczupak z sosem sardelowym, kiedy nieświeży“ (ja chcę świeżego!). „Szczupak świeży z sardelami“. (Boże, jakie to długie — nie mogę!). Może „paszteciki ze śledzi w klarze“. (Co to jest „w klarze“? Hm, to za trudne)... Co? Co? „Ślimaki“?! Co ona gada? „Zagotuj wody z popiołem i solą i włóż do niej na kwadrans ślimaki, żeby z łatwością wyszły ze skorup swoich“. Zwarjowała! Ta nieszczęsna jadła ślimaki?

Tu pani Niuśka zsunęła się na podłogę, z czego niezmiernie ucieszył się jej jedynak, klapnąwszy w tej samej pozycji koło niej.

— Pewnie jakieś kłopoty? — zagadnął ją po przyjacielisku.

— Jakbyś zgadł! — rzekła ponuro pani Niuśka. — Słuchaj, jadalbyś ślimaki z farszem na wilję?

— Ślimaki? Takie, co to „wystaw rogi“?

— Uhu...

— Nie! To dla dorosłych pewnie.

— I ja nie! — Po tem oświadczeniu pani Niuśka jęła się dźwigać z niewygodnej pozycji, uważając, że dość ma na dziś „sekretów gospodarskich“. Zresztą Marysia darła się w kuchni:

— Pani! Pani! A niechaj już pani przyjdzie i po wie, ile cukru sypać do ciasta. Tyle?

— Może jeszcze trochę — rzekła przestraszona pani Niuśka. — Doprawdy, nie jestem pewna.

— Po mojemu też jeszcze kapełka dołożyć trzeba — zdecydowało kuchenne dziewczę.

— Ale ja muszę iść na lekcję, moi drodzy. Zbyszek, żebyś nie dotykał ciasta. Dopilnuj pieca, Marysiu.

— A jużby pani nie chodziła. I w szkole uczy pani i poosóbku. Któż to widział. Jutro kucja, ja sama z bułkami temi nie sprawia sia.

— Wróć prędko. Muszę pracować na wasze utrzymanie, inaczejby nie wystarczyło — oświadczyła pani domu.

— A już po mojemu, to nie tak. Mnie mąż będzie nosił pieniędzy tyle, ile mnie potrzeba. Ja swojemu Antukowi powiedziała: ty, brat mój, pamiętaj, żeby mnie wszystko było po ślubie!

— I będzie? — zainteresował się Zbyszek.

— Ja jemu łeb rozkwasza jakby co.

— Głupia jesteś! — rozgniewała się pani. — Nie wygaduj byle czego.

— Namówię, żeby z tobą się nie żenił. On nie wie, że z ciebie taki ananas — krzyknął Zbyszek.

Marysia błysnęła oczyma w stronę Zbyszka

i otarła zroszone czoło nagiem przedramieniem, stając w pozycji bojowej.

Pani Niuśka usunęła Zbyszka za drzwi.
— Maryśka, zabieraj się do roboty. Żeby tu żadnych kłótni mi nie było! Trzymać język za zębami. Zrozumiane?

Na dworze stężało nieco i prószyl lekki, niewyraźny śnieżek... Na tej bocznej ulicy było pustawo... Sylwetki dorożek drażniły smutną nieruchomością zwieszonych łbów końskich. Pani Niuśka rzuciła okiem na bliżej stojącego gniadosza. Miał on nogi krzywe, pysk ociekający beznadziejnością i wystrzępiony ogon, z którego wiatr wywiał resztki fantazji, więc pani Niuśka pomyślała, odymając wargi:

— To jest obraz stanu wewnętrznego kobiety, która ma niepełne sto złotych na urządzenie świąt od a do zet i to „z szykiem“, czego wymaga przepadający za tradycją małżonek.

Po namyśle, pani Niuśka zafundowała sobie w najbliższej księgarni „Potrawy wigilijne“ pani Elżbiety — za jeden złoty groszy pięćdziesiąt.

— Przepuszczam, że niema tam mowy o ślimakach i lokajach — myślała, wciskając nowy nabytek do teki.

*

Wracała pani Niuśka z bijącym sercem, niespokojna o to, co się działo w domu. Już to wogóle należało wyraźnie powiedzieć, że pani Niuśka miała „gospodarskiego pecha“. Zawsze coś „wyszło“. Ostatnio w przeddzień imienin p. Niuśki wiewiórka wskoczyła do ciasta na strucle.

— I poco ten Jerzy robi z domu menażerję? — martwiła się pani Niuśka. — Wszystko to spada na moją głowę. Cieszę się, że ten zajac nareszcie zginął i że przynajmniej teraz niema w domu żadnego zwierzęcia, oprócz spokojnego kota. Ale był jednakowoż Zbyszek. Więc pani Niuśka zdecydowała się na autobus, modląc się w duchu o całość domowego ogniska. Nie! nic złego się nie stało. Marysia zawijała strucle. Blachy były wysmarowane masłem. Czerwona paszcza pieca ziała na kuchnię żarem.

— Już robisz strucle? Poczekaj, przeczytam, co tu napisane... „Ułożyć na blachach mazurkowych, posypując mąką, dając miejsce do wyrośnięcia. Dać podrosnąć po raz trzeci. Posmarować żółtkiem“... Smaruj...

— Poczekawszy, posmaruj! — broniła się Marysia. — A te drukowane to same nic tołku nie wiedzą... Była ja raz zrobiwszy z drukowanego. Jeden śmiech wyszedł. „Weź — mówi — takich deków i takich deków“ — (a żeby jej z temi dekami!) Na oko człowiek lepiej wie.

— Nic z ciebie nie będzie — zawyrokowała urażona pani domu. — Nie masz najmniejszej chęci do kształcenia się.

— Co mnie matka nauczyła, to wiem. A z dekami, zabijcie mnie, robić nie będą!

— Niech mama mnie da, ja sobie poczytam — rzekł Zbyszek i pograżył się w studjowanie „dwunastu wieczerzy wigilijnych“. Kuchnia wyglądała, jak pobojowisko. Już to Maryśka potrafiła wywrócić wszystko do góry dnem w promieniu kilkunastu łokci, jeżeli miała co pilnego do roboty.

— Przecież mogłaś tu przedtem uprzętać — gderała rozgoryczona pani.

— Nie miała czasu, paniczka, ani kapelki.

Wzdychając ciężko, pani Niuśka zabrała się do uprzękania. Wzięła szczoteczki do mycia i misę gorą-

cej wody, gdy ostry dzwonek targnął powietrzem. Wszyscy drgnęli.

— Tatusiowy dzwonek! — wrzasnął Zbyszek.

— Przecież tatuś miał jutro... Leć Zbyszek... Zobacz!...

Zgrzytnął zamek... szczęką łańcuszek... Zadudniło coś... stuknęło... upadło...

— To ty, ośle dardanelski? Jak się masz? Do stawaleś w skórę? — huczało w przedpokoju.

— Pan! — wrzasnęła Marysia z przerażeniem.

Pani Niuśka już wycierała ręce bez wielkiego entuzjazmu. To nie znaczy, żeby się nie cieszyła... Ale męczyło ją poczucie, że mąż wybrał najmniej odpowiednią chwilę do przyjazdu.

— Mammo! Mammo! co tatuś nam przywiózł! — darł się Zbyszek. — Wiwat! Ach, jaki śliczny!... — i oto na kuchennym horyzoncie ukazał się kudłaty szczeniak, rozkoszna poduszka, dziwaczny zwierzęcy waleczek. Przysiadł sobie, zachwycił kuchennych zapachów i oblizwał się czerwonym jęzorkiem. Był zachwycający, ale mimo to biednej pani Niuśce stanęły włosy na głowie... Zresztą, zanim zdążyła się wypowiedzieć, coś fuknęło, parsknęło, z pod stołu wyskoczyła szara kotka i wymierzyla parę tęgich policzków niewinnemu szczeniaku. Rozdzierające skomlenie zmieszało się z rykiem obronnym Zbyszka. Kot tymczasem skoczyła na stół, a ze stołu na szafę, z której posypały się blachy i miski.

— A Boże ty moj! Boże! — jęczała Marysia.

— Co się dzieje? Trzęsienie ziemi, czy ki licho? — zadudnił pan domu na progu.

Pani Niuśka podniosła oczy do elektrycznej lampki pod sufitem i rzuciła się z determinacją w męzowskie objęcia. Szczenieć skomliło tklawie, liżąc tymczasem nos i policzki uszczęśliwionego Zbyszka.

— No, siedź, Niuśka,* czego się zrywasz?

— Widzisz, muszę iść do kuchni.

— Twoje miejsce przy mężu. Od czego masz tę klempę? Niech pitrasi w kuchni... Spójrz lepiej, jaki śliczny wilczek. To dla ciebie.

Pani Niuśka pokiwała głową. Śliczny wilczek zostawił już kilka śladów na starannie wyfroterowanej podłodze i dobra zwykle pani domu spoglądała na serdeczne zwierzątko z obrzydzeniem. Zresztą szczeniak tak piszczał, że musiała zrzucić pychę z serca i zawiąć go do własnego fartuszka na kolanach. Wtedy dopiero pieszczoch się uspokoił.

— Jak on mamę kocha! — roztkliwiał się Zbyszek. — Niech mama go podrapie za uchem.

— Jeszcze czego! — oburzyła się matka. — Drap go sam. Mam być psią niańką? Wypraszam sobie!

Tu oburzona pani domu oddała szczenieć w ręce męża i uciekła do kuchni, gdzie rozpacziała zziąjana Maryśka.

— Łazili tu, drzwiami łamotali, ciągu narobili, a jeszcze Kisieńka ze strachu blachy te była zwaliwszy i na nic ciasta mnie strzęśli. Toż opadło, pani moja, podchodzić już nie chce.

— Wsadzaj do pieca. Czas najwyższy.

W kuchni zawrzała robota. Pani Niuśka zakwitła ognistymi rumieńcami. Maryśce pot spływał po nosie. Zamknęły wreszcie z trudem piec i pani domu rzuciła okiem na zegarek.

— Kwadrans po siódmej. Pilnuj ciasta i sprzątnij tu w kuchni. Ja zajmę się herbatą.

— Ślicznie wyglądasz, moja droga — ucieszył się małżonek, gdy weszła do jadalnego pokoju —

Chodź, usiądź mi na kolanach. Miła z ciebie pokojóweczka. Pierwsza klasa!

— Dajże spokój! — mitygowała pani Niuśka. — Zajmij się lepiej szczeniakiem. O jej, jak ono się drze! Zwarżować można.

— Przygarnij go do swego dobrego serca, Niuśko — mówił mąż. — Widzisz, jak łązi za tobą.

— No, wiesz co — pani Niuśka aż stanęła z oburzenia. — Paradny jesteś z tem sercem.

Nie chcąc psuć opinii rodzinnej o swoim sercu, pani Niuśka musiała pić herbatę z upartem szczeniakiem w podółku, ale wkońcu zbuntowała się.

— Teraz muszę koniecznie iść do kuchni. Zbyszek, popilnuj szczeniaka. I niech się nie kręci pod nogami.

Sprawa wyjmowania ciasta nie była tak łatwa, jakby to można sądzić z pozorów. Maryśka pogrzbaczem zawadziła o placek z serem i otworzyła mu białe wnętrzności, a pani Niuśka, zaglądając ze świecą do czeluści pieca, ochlapała stearyną strudel z makiem. Chwile się rozciągnęły nieznacznie i przez ten czas szczeniak, utyskując, ruszył w stronę kuchni i po drodze napotkał miękki dywanik. Spróbował go zębami, pociągnął w jedną stronę, w drugą, nakoniec przewrócił się i zagrzebał w fałdach. Miejsce było wygodne i ciepłe, więc się uspokoił i zasnął. Zbyszek, zajęty oglądaniem elektrycznej latarki ojca, zupełnie o nim zapomniał.

Właśnie otworzyły się drzwi od kuchni i ukazała się na progu rozradowana pani domu. W oczach miała połysk choinkowych świateł; policzki zarumienione, jak świeże ciasto, zdawały się pachnieć wanilią. Mąż spoglądał na nią z uznaniem, gdyż w rękach niosła deseczkę, na której spoczywały jego ulubione strucle.

— Brawo! Brawo! — zawołał.

I tu nastąpiła katastrofa. Narazie wogóle nie wiedziano, o co chodzi. Pani Niuśka ruszyła naprzód, ślicznie uśmiechnięta, gdy nagle powietrze przeszyło rozdzierające skomlenie i pani domu z krzykiem runęła razem ze struclami na podłogę. Jeden ze struclów wpadł aż do przyległego pokoju pod łóżko Zbyszka. Inne pokruszyły się i połamały, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Pani Niuśka zerwała się z podłogi, przykryła oczy palcami i, wołając rozpaczliwie:

— O Jezu! Zabiłam szczeniaka! — uciekła do saloniku z głośnym płaczem.

Na podłodze pod dywanikiem coś drgało i szamotało się w fałdach. Zbyszek też wybuchnął łkaniem. Pan domu schylił się i wy dostał z pod zmiętoszonej tkaniny potłuczonego biedaka.

W kuchni przy pomocy oszołomionej Marysi, cucił wodą zwierzątko, nad którym Marysia zalewała się rzewnymi łzami.

Pan domu poskrobał się po szyi z zakłopotaniem.

— Tylko bez histeryj! A to licho nadało!

— Psiuńka ty moja, psiuńka! — zawodziła dziewczyna. — Pan tak zawsze. Jak przyjedzie, to już i czekaj jakiejś katastrofy...

— Co to za gadanie? Zawiele sobie pozwalasz, moja droga! — krzyknął pan domu, robiąc odwrót w kierunku saloniku.

— No, Niuśka, uspokój się. Trudno — pocieszał żonę.

— Nie uspokoję się... Nie mogę — płakała żona. — Wszystko przez ciebie! Dostyć! Nie zajmuję się gospodarstwem! Rób sam uszka w kruchem cieście. Ani myślę!

— No więc nie zajmuj się. O co chodzi?
— O to chodzi, że ja też jestem człowiekiem. Muszę mieć czas dla siebie. Nie chcę szczeniaków. Nie chcę wiewiórek. Nie będę robiła ciasta! Nie zreperuję majątek Zbyszkowi. Róbcie sami!...

— Dobrze! — oburzył się mąż. — Ale to histerja. Kobięce nerwy. Byłaś w najlepszym humorze. Strasznie nierówna jesteś. Kobieta powinna być zawsze pełna słodyczy.

— Ale nie wtedy, kiedy rozdeptała szczeniátko — szlochała biedna pani Niuśka. — I... odejdz ze swemi judaszowemi pocałunkami!

— Judaszowemi?! — zachnął się mąż.

— Tak! tak!... Narobisz narobisz, a potem... słodkie słówka...

— No, wiesz co! — Oburzony małżonek zerwał się z miejsca. — To niby ja rozdeptałem to niewinne zwierzę? Kto tutaj nabroił?

— Należy uprzedzić kobietę przed ślubem, że ma się poświęcić wychowaniu różnych czworonogów, — zawołała pani Niuśka.

— Oj, nie kłóćcie się! Przecież tak nie można przy dziecku — odezwał się żałośnie Zbyszek — Mamusiu, mnie jest bardzo niedobrze, aj, aj, jak niedobrze.

— Co ci jest, kochanie? Widzisz, jak to podziało na dziecko? — zerwała się pani Niuśka. Mąż nie okazał zaniepokojenia.

— Możesz co zjadł takiego, smyku? — huknął groźnie.

— N - nie takiego... tylko ten połamany strucel z podłogi, żeby się nie zmarnował... aj... aj, mammo!

— Gorący strucel! — Pani Niuśka porwała się za głowę. — że to nawet popłakać człowiek w tym domu nie może!

— Połóż go do łóżka. Wleję mu rycyny za karę — komenderował pan domu.

— Oj, nie! oj, już mi lepiej — chlipnął Zbyszek, chroniąc się pod stół.

W drzwiach ukazała się rozczochrana do ostatnich granic Marysia, z szczeniakiem na rękę.

— Pani, nie płakać! już ja psiuczka docuciwszysia, tylko łapka jemu wykręciło, nic nie będzie, a pierogi nasze pięknie wyszli. I strucel z pod łóżka wyciągnęła i obtarła. Niczego sobie bułeczka!

— Idź otworzyć, ktoś dzwoni! — rzekła pani Niuśka, ocierając oczy.

— Zakrystjan przyniósł opłatki, — poinformował rozczochraniec po chwili.

*

Opłatki były delikatne, różowe, błękitne i białe... Mąż z wielką przytomnością umysłu ułożył je na talerzyku i postawił przed żoną.

— Myślę, że nie pokłócimy się? — powiedział ostrożnie. — Któryż to już opłatek łamiemy wspólnie?

— Usuń chociażby psy z kolców mego życia! — narzekała nieprzejednana żona.

— No, to się mama już drugi raz przez niego nie przewróci — stęknął skrzywiony Zbyszek z pod stołu.

AURA WYLEŻYŃSKA

GORĄCE KASZTANY

Każda pora roku w Paryżu posiada własny głos, który jest w stanie przekrzyknąć wszystkie inne. A jest ich bez liku! W mglistej, zimowej dobie na rogu ulicy: „Chaud les marrons!” — drą się Baby-Jędze i wezwanie ich słyszeć się daje przez piekielny wrzask miasta i szmer deszczu, bez przerwy padającego, odkład zaproszenie na wernisaż Salonu Jesiennego pod jego wysłano wezwaniem.

Przed Grand Palais doroczne tłumy. Zgodnie kupujemy pisma artystyczne, poświęcone wystawcom, zgodnie oddajemy parasole i zgodnie idziemy patrzeć na obrazy. Nie, patrzeć niepodobna, zbyt jest ich wiele, i zbyt wielu ludzi dzieli nas od nich. Fala pod pływa do ścian brzegów i, odrzucona inną, odpływa.

Ale oto znalazłam... Ciemny błękit południowego nieba sukni, białe koronki tak lekkie i przejrzyste, jak puch kwiatów, jak szerść jej kotów. Tajemnica Niny Alexandrowicz.

Więcej dnia tego nie szukałam. Wystarczy jedną dobrą rzecz zobaczyć, aby wernisażu było dość. Kiedyindziej można więcej. Tembardziej, że prawie co dnia o 3-iej popołudniu była w Salon d'Automne jakaś atrakcja: pokaz modeli, odczyt, kino, czy popisy taneczne. Raz nawet na estradzie demonstrowano sztukę zdobienia mieszkań systemem japońskim, na kwiatkach firmy Baumann. Wyglądało to na źle ukrytą reklamę i jakkolwiek Kiku-Yamati jest autentyczną japonką i kimono jej w krainie gejsz było wyszywane — po-

wiała francuska banalność. Paryż jest, jak ojciec cierpliwy: wszystkich, nawet cudzych dzieci, błędy przytula do łona...

Jeśli o Salonach coraz częściej się mówi — nie tylko artyści to mówią, ale i profani — że są przeżytkami, to galerje obrazów mają pewne dobre strony — do czasu, aż się zupełnie nie popsują. Zebrane razem dzieła jednego człowieka zbliżają nas do niego, a handlarzom pozwalają lansować talent na giełdzie sztuki. W Galerie Bonaparte wystawa prac Teresy Roszkowskiej, znanej Warszawie z Zachęty.

Lubię budowane przez nią zamki, gdy między węzowate ich linje snuje czerwony brzeg murów; jej Miasta Łalek, stylizowany Kazimierz nad Wisłą, Kolendników, których w świat puszcza, aby bawili oczy; Wianki, gdy je w drogę po szczęście gotuje — ale z przyjemnością widzę, że świat utartej bajki artystka opuszcza, aby dać własne widzenie rzeczywistości, a także wizję tego, co jedynie z najtajniejszych wnętrzą naszych wydobyć można.

Legendarną prawdę świętego Franciszka z Asyżu malarka po swojemu odczuła, do zwierząt jego ziemskiego raju wprowadziła fantastycznego jednożerca, za prawdziwą postacią Poverina dojrzała jego cień, większy od niego, bo w głąb wieków dalekich idący.

Mieliśmy tu cały szereg uroczystości, poświęconych rocznicy listopadowej; rozpoczęli je Amis de la

Pologne, których sekretarka, p. Rosa Bailly, Boyowska Różyczka, celuje w organizowaniu tego rodzaju obchodów, przy czym posiada dar niezwykły: umie im odebrać sztywność i oficjalność. Przyjęcie, urządzone dla potomków emigrantów z 50 r., miało ciepło razem przeżytej chwili; widok staruszków o typach niefrancuskich, i dam, noszących z godnością piętno wieku, był ewokacją — dawnych pokoleń. Ludzie ci w wielkiej mierze nie znają języka polskiego, ale duch polski w nich mieszka.

Nazajutrz na cmentarzu Montmartre zebranie, na które zwołano cytatem z manifestu sejmowego roku 1850, głoszącego, iż na ruinie miast i ludzi wolność Europy się wzniesie. Poszły delegacje do grobu męczenników, pokłoniły się sztandary kombatantów, francuzi — przyjaściolom swych przodków złożyli cześć; muzyka wojskowa teraz dopiero oddała honory: czasu ich śmierci racja stanu oddać nie pozwalała. Kwiaty ozdobiły, szczerbiały od wieku i wyziwów benzyny, martwe kamienie, krzyżami zasługi obwieszono.

W tydzień po uroczystościach, urządzonych przez Amis de la Pologne, towarzystwo France-Pologne w wielkim amfiteatrze Sorbony zgromadziło cztery tysiące osób.

Oficjalność obchodu, wielkość sali, lub brak serca — mówców czy słuchaczy? — sprawiły, iż poza krótką może chwilą przemówienia syna emigranta, nie czuło się obecności ducha tamtych ludzi; pozostali oni nadal historją i martwą literą, gdy w dniu swego święta stać się mogli znowu żywymi. Nie wiem też, czy w uroczystym odsłonięciu tablicy pamiątkowej na domu, w którym mieszkał Lelewel, pan Joachim dostojną swą osobą brał udział? Gdy umarł, obok rodaka zegnał go rabin i majster blacharski, zapewne lepiej go rozumiejący, aniżeli panowie z rady miasta Paryża. Choć objaśnił ich Stanisław Piotr Koczorowski, którego pracę o Lelewelu z okazji tego święta przedrukowano w wielkiej ilości małych formatów, żeby poinformować przedstawicielstwo Lutecji i prasę paryską, czem był ten dziwny starzec, którego chwilowy pobyt w hotelu Grande Taranne (B-vard St. Germain, 153) należało upamiętnić.

Może w polskim kościele Wniebowzięcia emigracyjna zebrała się wiara?... Z radością widzieć musieli księdzu Jełowickiemu na tablicy wieczystej wypisaną pamiątkę jego działalności, w tej to bowiem świątyni przez długie lata, obok imienia Bożego, słał imię Ojczyzny...

Niedługo przed rocznicą listopadową zmarł jeden z nielicznych już uczestników powstania styczniowego, doktor Henryk Gierszyński, który młodzieńcem będąc, brał udział w walkach. Opuścić musiał kraj, przeniósł się do Francji i tu długie swe a piękne życie spędził, gromadząc pamiątki przeszłości (pozostawił bogatą bibliotekę, którą ofiarował Akademii Umiejętności) i wraz z małżonką dając serce — serca jego potrzebującym.

Będąc na Montmartrze, żeby zobaczyć doroczną pochód Katarzynek, wzięłam bilet do teatru Pigalle na nową sztukę Jules Romainsa, jednego z najgłębszych pisarzy dramatycznych francuskich. I najdowcipniejszych. „Donogoo“ jest doskonałą satyrą na motory dzisiejszego dnia: triumf bluffu, reklamę, nawet kłamstwa nauki. Nie mogąc wszystkiego zbadać, opiera się ona na zaufaniu do poprzedników i tak z pokolenia w pokolenie, z książki do książki, przeszła błędna wiadomość o Donogoo-Tonka, mieście w południowej Ameryce — nieistniejącem.

Ale jeśli miasto nie istnieje, a od konieczności jego istnienia zależy fotel w Akademii, to powstać musi. Powstaje. Tem łatwiej to przychodzi, iż teatr Pigalle posiada cztery sceny, których sprawność rozwija się przed oczyma widza, z początku przedstawienia; gdy jednak nikt już nie wąpi, że wszystko, co zdawało się być możliwem jedynie w kinie, tu uda się urzeczywistnić, spuszcza się zasłonę po każdej z dwudziestu kilku odłon, a potem gotowe pokazuje świetne dekoracje Paul Colina.

Baron Rotszyld, który gmach ten zbudował, nadał mu formy, wymagane przez dzisiejszą estetykę; dotychczasowe jednak przedstawienia były bezowocnymi poszukiwaniami nowej sztuki; dopiero „Donogoo“ jest tem, co w danych ramach najlepiej da się uwydatnić, i tem, co jest polem do popisu — dla maszynierji, a przytem utworem, odpowiadającym wymogom dzisiejszego gustu. Potrzeba nam fantazji, groteski, nierealności... Dramaty miłosne, powikłania psychologiczne, trójkąty nawet — wiecznie jeszcze w osobistem życiu ciekawe, bo przecież to zawsze wyjątkowy wypadek! — na scenie stały się nudne i przestarzałe. Brzmia, jak oklepana piosenka. Wyjątkowo tylko nuta jej bywa świeża, gdy wielki aktor w cudze cierpienia wcielić się zdoła. Tak jest w komedji Nozière'a „Cette vieille canaille“, granej w Michel, gdzie występuje Féraudy, który, znudzony sobie widocznie — jakże słusznie! — dramatyczny patos Comédie Française, przeniósł się do bulwarowego nieomal teatryku.

Ongis Ronsard chwalił Sekwanę, że jest piękna i błękitna, Verlaine widział w niej skręty olbrzymiego węża, my oglądamy szarą, brudną i powolną rzekę, która jednak co pewien czas wzbiera. Tej jesieni groźną się pokazała nie tylko dla podmiejskich okolic, ale i dla Paryża; szybkie i niecierpliwie fale sprawiły, że kamienny żuaw z Pont de l'Alma codziennie brał kąpiel po szyję, że nadbrzeżne drzewa stały w topieli, a najniższe nawet statki, przepływając pod mostami, uchylać musiały komina. Była chwila, że już płynąć nie mogły i, zdawało się, Sekwana każdej chwili gotowa z granic swych wystąpić.

Do szczytu wysokości doszła 29-go listopada, w dniu, poświęconym ofiarom morza — tyle ich w tym roku było — w dniu narodowego smutku, zapowiedzianego po mieście wesela żalobnymi afiszami: kłęcząca czarna matka i obok niej dwoje dzieci. Nie widać twarzy wdowy, ni twarzyczek sierot; odwrócenie od nas plecami, wymowni jednak w bólu, w pochyleniu pleców i wyciągnięciu rąk...

Paryżanie przyjrzeni się im, popatrzyli na Sekwanę, uśmieśli się z odważnych łowców rybek, którzy nawet wobec niebezpieczeństwa nie umieją poskromić swych namiętności, a potem szli cieszyć się wystawami gwiazdkowemi. Wielkie magazyny corocznie poświęcają olbrzymie sumy, aby zabawić stare i małe dzieci. Na froncie Luvru, Bon Marché, Lafayette, Printemps, Samaritaine i Pigmaliiona — kolorowemi latarkami, świecącemi i mrugającemi lub gasnącemi, gra się co wieczór bezpłatne przedstawienie.

Dyrektorem, reżyserem i woźnym tego teatru jest miernik elektryczny, wyliczający, kiedy która świetlna kula wyjść ma na scenę.

30-go listopada Sekwana zaczęła opadać. Zrobiło się zimno, a potem przyszedł prawdziwy biały mróz, do południa na trawnikach leżący.

Baby-Jędze mają pretekst krzyżeć coraz głośniej:

— Gorące kasztany!...



Kaplica w Matariieh. Ucieczka do Egiptu.

M. GABRJEŁ KARSKI.

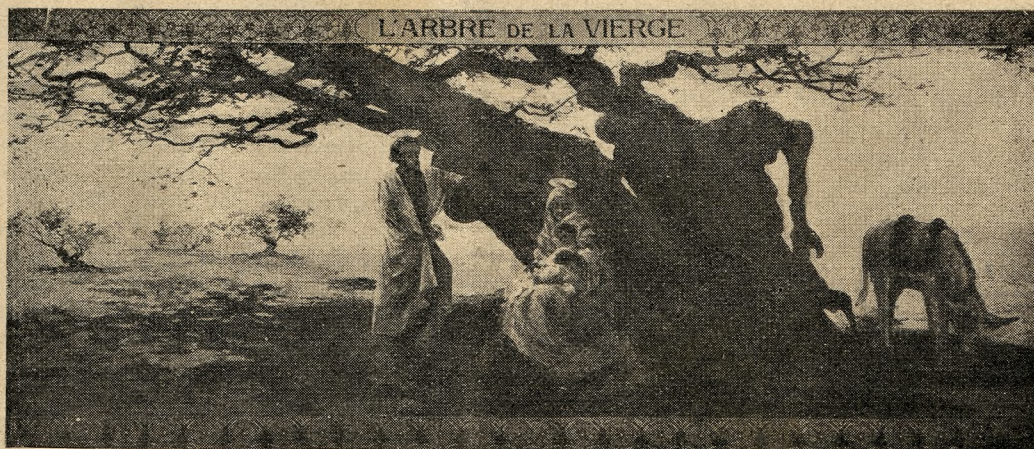
II WYCIECZKA DO MATARIEH

Program turysty zazwyczaj poza Kairem (muzea, ogród zoologiczny i botaniczny, cytadela i groby Mameluków) i jego najbliższą okolicą (piramidy Ghizeh ze słynnym Sfinksem, Memfis i piramidy Sakhary, szluzy nilowe, wioska Matariieh, niedawno powstałe Nowe Heliopolis oraz cudotwórcza oaza dla chorych na nerki — Heluan) obejmuje jeszcze ruiny Teb, Karnaku, Luksoru i Assuan w Górnym Egipcie. Wszystkie te atrakcje opisał już w wydanej niedawno książce znakomity pisarz Ferdynand Goetel; wspomnę więc tu tylko o tem, co on pominął — przedewszystkiem zaś o wycieczce do Matariieh.

Jest to wioska, odległa od Kairu o godzinę jazdy koleją, zasługująca na zwiedzenie, jako miejsce, w którym zatrzymała się na nocleg Święta Rodzina podczas ucieczki przed siepaczami Heroda. Nazwa „Mataria” jest skażeniem starohebrajskich słów

„majia taria” — *dobra woda* — wypowiedzianych, jak opiewa legenda, przez małego Jezusa, gdy, znużony podróżą i wielce spragniony, zaczerpnął wody z wytysłego cudem źródła.

Najprzyjemniej jest odbyć tę wycieczkę samochodem — po znakomitej szosie (drogi bite w całym Egipcie, gdzie rozwój automobilizmu jest ogromny, są pierwszorzędnej konstrukcji i doskonale utrzymywane), wśród wielkich gajów palmowych; potem między polami jęczmienia, trzciny cukrowej i bawełny dociera się do obszernego ogrodu, otaczającego klasztor jezuicki, którego przeor, zamięłowany ogrodnik, chętnie się przed turystą popisuje swą niezwykle bogatą i urozmaiconą kolekcją kaktusów. Przechodząc obok przykaplicznej dzwonnicy, przewodnik zwraca naszą uwagę na zwieszającą się z jej szczytu aż do samej ziemi grubą linę, która przy bliższym przyjrzeniu się



Malowidło ścienne w kaplicy Matariieh. Drzewo Najświętszej Panny.



Malowidło ściennie w kaplicy Matarieh. Odpoczynek nad Nilem.

jej, okazuje się... drzewem; osobliwy ten okaz wyrósł, zaplatając się dokoła szpagatu, umocowanego na dachu dzwonnicy.

Opodal na wzgórku widać maleńką kapliczkę: jest to pono jedna z najstarszych świątyń chrześcijańskich (pierwotnie kościółek koptyjski), sześciokrotnie burzona i odbudowywana. Ściany jej ozdabiają ciekawe prymitywne malarstwa religijne, a z okienka w głębi widać, w odległości 200 kroków, za parkanem, okalającym ogród — jakieś pokraczne konary: to „Virgin's tree” — legendarne „drzewo Matki Boskiej”. Opuściwszy świątynkę, kierujemy się ku drugiej — obszernej — kaplicy, w której wielki ołtarz z piękną rzeźbą, wyobrażającą Św. Rodzinę, skąpany w spływających z góry potokach blasku słonecznego, sprawia wrażenie pełne osobliwego uroku. Ściany tej kaplicy pokryte są przepięknymi malowidłami (płótna malowane i naklejone na mury), przedstawiającymi epizody ucieczki do Egiptu.

Stamtąd udajemy się sąsiadującą z ogrodem aleją do owego „Virgin's tree”. Choć wiadomo, że

drzewo pochodzi z XVI wieku i jest jedynie potomkiem autentycznego (w ogrodzie jezuickim rośnie też i przysły następca obecnego „Virgin's tree...”), najmniej ogarnia nas wzruszenie na widok drzewa, wyrosłego w miejscu, gdzie odpoczywał Chrystus. Jest to wielki konający sykomor, o pniu już zupełnie wypróchniałym; wszystkie konary martwe i tylko w jednej odnodze zachowują się resztki życia. Arabowie, mający to drzewo w „pachcie”, bynajmniej się o nie nie troszczą i każdy turysta z łatwością może zdobyć sobie na pamiątkę listek z owej jedynej jeszcze żywej odnogi, zerwany przez łasego na pięciopiastrówki wyrostka, który bez ceremonji wdrapuje się na prastare drzewo. Umieszczony u furtki ogrodzenia, wydrukowany w kilku językach regulamin dla zwiedzających jest całkowicie ignorowany; zawiera on zakaz niszczenia „drzewa Matki Boskiej” — a oto cały pień i wszystkie gałęzie są wręcz usiane niezliczonymi nazwiskami podróżnych, którzy to miejsce zwiedzili. Śród nich najznaczniejszym i zdaleka rzucającym się w oczy jest głęboko i pracowicie wyrzeźbiony napis: *Sobolowski...*



Malowidło ściennie w kaplicy Matarieh. Święta Rodzina pośród ruin Heliopolis.

O KOLENDACH

Jak okiem sięgnąć a myślą objąć można wielką i urodzajną ziemię polską — ze wszystkich stron śpieszą tłumnie ludzie, aby pokłonić się małemu Jezusowi, urodzonemu w ubogiej stajence na sianie. Jakże-to? Czyżby Chrystus Pan w Polsce się był narodził, a Betleem polską wioską było, sławną od urodzenia Dzieciątka Jezus?

Nieinaczej skoro tak od niepamiętnych czasów głosi polska Kolenda śpiewana z brzmieniem uciechy i wesela na chwałę Bożą, z powodu cudownego w świecie zdarzenia. Jest ich bezliku, tych kolend, które silną wiarą wrosły w krew polskiego ludu, przeszły z pokolenia w pokolenie. Bogactwo motywów kolendowych jest tak wielkie, że, jak powiedział o nich kompozytor niemiecki XVIII w. Grzegorz Filip Teleman, starczyłoby ich na wypełnienie całozyciowej twórczości genialnego muzyka. I to właśnie przeniesienie, w pojęciu ludowym, narodzin Chrystusa Pana na polską glebę uczyniło to zdarzenie tak drogiem sercu polskiemu, zbliżyło i spoufaliło z bożem Dzieciątkiem i Jego Najświętszą Matką. Wszak to nie komu innemu, tylko „pastorzom Anioł mówił” w najstarszej kolendzie polskiej o świętej Nocy Narodzenia, a lud polski, dowiedziawszy się ze zdumieniem, kto „W żłobie leży”, narodzony „Wśród nocej ciszy”, użalał się litościwie, że „Mizerna, cicha” ta stajenka, którą w takiej chwili objął na mieszkanie Pan, wyższy nad króle. Zgodnie z wiarą ludu polskiego, obok żłobu, w którym złożyła swe dziecię, „Rozkwitnęła się Lilija” — Panienka Święta, „co Synowi pokłon oddała i, jak Boga, Go witała”.

Chłop polski z rozczuleniem podnosił spracowane, czarne a błogosławiące dłonie nad głową świętej Dzieciny i kołysał ją do snu słowami kolendy „Lulajże, Jezuniu”, napominając Matczkę Świętą, iżby go w placzu utulić nie zapomniała. Użalała

się kolenda nad Jezusikiem, że mu Mateńka sukienki nie dała, a jeno siankiem przykryła, a wtedy otwierano naścieżaj wrota polskiej chaty, zapraszano do izby Niebożátko malusieńkie, wszystkie Mu uciechy dziecinne hojnie obiecując. „Ktoby Ci dał, Jezusicku, ziębnać w stajni, w żłobie?” śpiewano tkliwie, ofiarowując Dzieciątku kołyskę jesionową, kocięta niemrawe i zabawę z Burkiem-smolasem.

Pełen prostoty piewca kolend wysyłał wszystkich do stajenki betleemskiej, każąc im zabrać jadła dobrego coniamiara — ba! nawet dobytek cały, wraz z tradycyjnym wołem i osłem Panu w ofierze znosić kazał. Przed Dzieciątkiem Jezus pochylały się kornie wszystkie kwiaty, wyrosłe na polskiej ziemi, a nad nimi wznosił się głos ludu, pełen uwielbienia.

„Witaj królewiczu, Niebieski dziedzicu! Bądź pochwalon bez miary”.

Ale poufałość, na którą sobie lud polski pozwalał tylko w chwilach rozczulenia wobec Najświętszej Panienki i małego Jezusicka, nawet kiedy sobie ze świętego Józefa i z jego gderania dworował, miała charakter dziwnie uroczysty, choć w szczerości swej wesoly i rodzinny. Inaczej w miastach i dworach polskich.

Słowa kolendy stosowano do środowiska i upodobań tych, którzy po swojemu chwalili Pana, i śpiewano je nietylko w wieczór wigilijny i święta Bożego Narodzenia. Kiedy w karnawale król-jegomość dwór szlachecki odwiedzał i pięknej wojewodziny lub kasztelanowej dłoń do poloneza podawał — muzyka kolendy towarzyszyła powadze obecności królewskiej; czasem kolenda wesolym rytmem mazura i oberka pociągała młodzież do tańca, a nawet w czasach polskiego rokoka do nuty menueta i gawota naginać się umiała.

Jednakże wszystkim modyfikacjom — wesolym i żalonym, uroczystym i swawolnym, ludowym i pańskim — ulegała kolenda tylko poza obrębem kościoła. Gdy swojskość motywu



Zofja Stryjeńska: „Z gwiazdą”.

ludowego ujęła Boże Narodzenie w ramy polskiego obrazu, na tle wsi polskiej, gdy zależnie od nastroju tego ludu, zmieniał się rytm kolendy, w kościele pozostała ona tylko pełnym wzniosłości chorałem Nowego Testamentu. W kościele pozostała kolenda pieśnią religijną, ale poza kościołem towarzyszyła ona nietylko weselu i uciesze w domu i tańcom na dworze, ale w polityce udział brała, o senatorskich rodach prawila i błędy panującym wytykała, a nawet w powstaniu 1831 r. uczestniczyła.

Były i pastorałki góralskie z dialogami, kunsztowne w formie i rymach. Każda doba poetycka zostawiała jakąś spuściznę kolendzie, a jednak najpiękniejszą, czystą w swej rozczulającej naiwności, związaną z tradycją polską, pozostała tylko kolenda ludowa, która obok pierwotnego imienia zachowała prostotę archaicznego słowa. W proszących słowach Matki Boskiej do świętego Józefa:

„Przynies trochę siana, Pod główkę, pod kolana“ — jest daleko więcej poezji i wdzięku, niż w wyszukany stylu innych kolend, a basu i dudy polskiej nie zastąpią żadne oboje, klarnety i waltornie, które z czasem do muzyki kolendy wprowadzono. Prawdziwa poezja kolendy ludowej nie ma nawet rymów — zastępuje je często assonansem, a często układ słów dopiero w rytmie śpiewu staje się poezją.

Boże Narodzenie, w stajence na sianie, jest apoteozą ubóstwa, które w słowach kolendy polskiej zajmuje pierwsze miejsce. „Jezus malusienki, leży golusienki“, a obok Niego, pierwsi przy żłobie są ci wydziedziczeni na ziemi, królujący w nędzy i ubóstwie, — wyniesieni ponad wszystkich i przed wszystkimi stojący przy Panu, biedni pastuszkowie, w noc tę świętą postawieni na czele wielbiących Dzieciątka Jezus.

Wieczór wigilijny jest nietylko świętem tradycji rodzinnej, ale muzyki polskiej, która bogactwo swoje wzięła z motywów polskiego ludu.

Paula Lamowa

NA MARGINESIE ZJAZDU HISTORYKÓW

Zjazdy naukowe mają doniosłe znaczenie w intelektualnym życiu społeczeństw, pozwalają bowiem pracownikom na niwie naukowej, pozostającym często w zupełnym odosobnieniu, na zetknięcie się z pulsującym żywo ruchem naukowym, na wymianę myśli, na wchłonięcie znowu na pewien czas atmosfery pracy intelektualnej, a z nią podniety do dalszej działalności naukowej, czy oświatowej. Najsilniejszym tego dowodem była ilość uczestników na V-ym powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Warszawie.

Zbiegły się aż trzy rocznice narodowe: setna rocznica powstania listopadowego; 500 lecie śmierci Witolda; „Siedemsetlecie Prus Wschodnich“.

Wielka aula uniwersytecka przepelniona była uczestnikami, których większą część stanowiły kobiety. Gdy przed laty pięćdziesięciu zwołany został pierwszy powszechny Zjazd Historyków w czterechsetlecie śmierci Jana Długosza, w Krakowie, zgromadziła się niewielka ilość uczonych — kobiet nie było wcale — nawet jako biernych uczestniczek zjazdu. Po raz pierwszy wzięły kobiety czynny udział przez wygłaszanie referatów na IV-ym Powszechnym Zjeździe Historyków w Poznaniu przed 5-ciu laty.

Z najdalszych zakątków prowincji przybyły nauczycielki, aby wysłuchać referatów różnych sekcji, a przede wszystkim Sekcji Nauczania historii. Wysoce dodatnim objawem jest poczucie, że nauczycielowi nie wolno zamknąć się w kręgu dotychczas nabytych wiadomości, że musi odświeżać metody pracy przez nawiązanie kontaktu z innymi. Dziedzina nauczania jest

wyjątkowo interesująca dla kobiet i dlatego w tej sekcji na osiem referatów — cztery zostały wygłoszone przez kobiety.

Prof. Helena Radlińska z Warszawy wygłosiła referat p. t. „Postulaty w sprawie nauczania historii na stopniu średnim“. Omawiając cele nauczania historii i sposoby ich osiągnięcia, prelegentka zwraca uwagę na konieczność liczenia się z psychiką młodzieży, która na różnych poziomach wymaga przerobienia innego materiału historycznego.

Dr. Halina Mrozowska — instruktor ministerjalny nauczania historii, znana w szerokich kołach nauczycielstwa stolicy i prowincji ze swej czynnej i pełnej inicjatywy pracy oświatowej — wystąpiła na zjeździe z ciekawym referatem: „Środki pomocnicze w nauczaniu historii“. Omawiając dotychczasowe metody nauczania, przedstawiła gruntowną zmianę ideałów pedagogicznych w w. XX i konieczność zastosowania przy nowej metodzie pracy różnorodnych środków pomocniczych.

Dr. Ewa Maleczyńska ze Lwowa stwierdziła w referacie „O roli książki historycznej w pracy szkoły średniej“ — bardzo słaby rozwój naszego czytelnictwa w chwili obecnej. Prelegentka nawołuje do tworzenia przy szkołach bibliotek i pracowni humanistycznych i wprowadzenia obowiązkowej lektury historycznej.

Dr. Hanna Pohoska, autorka cennej pracy: „Dydaktyka historii“ — najbardziej wyczerpującej i opartej na ostatnich zdobyciach z zakresu dydaktyki, pracy, znanej szerokim kołom nauczycieli — zgłosiła ciekawy referat: „Stan nauczania historii zagranicą“. Prelegentka podała w referacie ciekawy przegląd celów nauczania w szkołach różnych krajów i metod różnorodnych. Rzeczoży, głęboko ujęty referat wniósł wiele ciekawego materiału, i pozwolił nauczycielom zdać sobie sprawę z własnej drogi w dotychczasowej pracy*).

Nietylko w Sekcji Nauczania historii, ale i w innych Sekcjach kobiety wystąpiły ze swoimi pracami.

Dr. Łucja Charewiczowa ze Lwowa, posiadająca w swym dorobku naukowym wiele prac z zakresu badań nad handlem miast polskich, zgłosiła referat: „Znaczenie badania planów miast dla ich historii“. Ważkość zagadnienia uznana została przez ogół uczestników Zjazdu i wyraziła się przez uchwalenie wniosku Dr. Charewiczowej, aby podjęto wydanie planów miast, co może rozświetlić wiele niejasnych kwestyj, tyjących się początku miast w Polsce.

Z wielce ciekawym referatem, w którym zagadnienie zostało ujęte wyjątkowo głęboko, wystąpiła dr. Wanda Moszczeńska: „Z metodyki badań nad epoką najwcześniejszego średniowiecza“. Od paru lat dr. Moszczeńska prowadzi na Uniwersytecie Warszawskim proseminarium historii, droga naukowa jest dla niej otwarta.

Dr. Jadwiga Karwasińska, prowadząca na Uniwersytecie Warszawskim proseminarium z dyplomatyki, zgłosiła referat: „Odtworzenie archiwów dawnej Rzeczypospolitej“, a również zabierała głos w dyskusji z powodu t. zw. „700-lecia Prus Wschodnich“; posiada wielką znajomość spraw krzyżackich, a jej praca „Sąsiedztwo kujawsko-krzyżackie“, wyd. w r. 1907, została przyjęta z wielkim uznaniem.

Zgłosiły jeszcze referaty Dr. Lechicka Jadwiga z Łodzi: „Nieznany traktat ustrojowy z czasów saskich“ — zwracający uwagę na ciekawy dokument historyczny, i Dr. Helena Więckowska: „Przemiany myśli politycznej w Królestwie Kongresowym“, tem ciekawszy, że związany z rocznicą listopadową.

Na zakończenie pozwolę sobie jeszcze dodać, że Pani Dr. Prof. Daszyńska-Golińska zgłosiła komunikat w sprawie sekcji historii ludności w „International Congress Historical Sciences“.

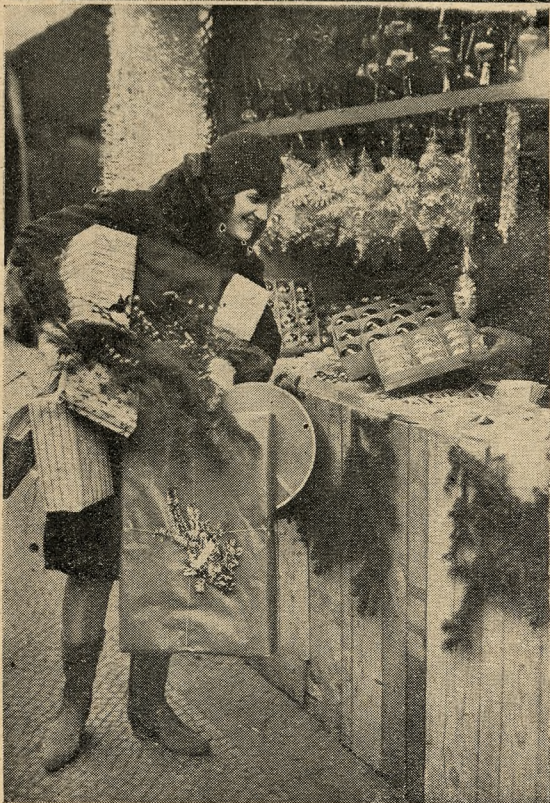
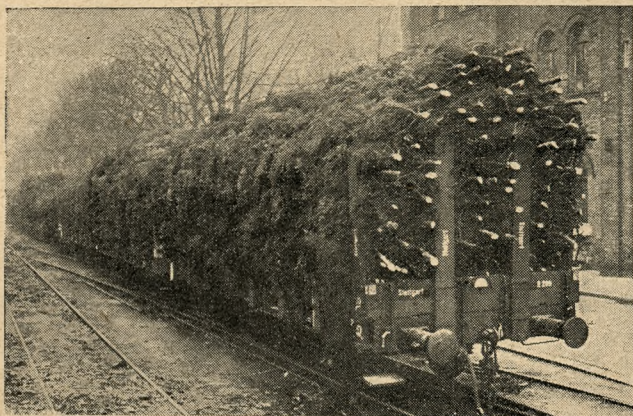
Ten obfity, na wysokim poziomie naukowym stojący plon prac kobiecych niechże będzie nam podniety do dalszych zdobyczy intelektualnych.

Dr. Marja Kuźmińska.

* Referaty zostały podane w Pamiętniku V Powszechnego Zjazdu Hist. Polskich w Warszawie.

OBRAZKI ŚWIĄTECZNE

Z dalekich lasów jadą drzewka wigilijne, aby potem wyrósł z nich odrazu jakby zaczarowany las choinek. Na każdym z większych placów Warszawy stoją te laski ośnieżone, przypominając radość wigilijnej uroczystości.



Miły ciężar sprawunków.

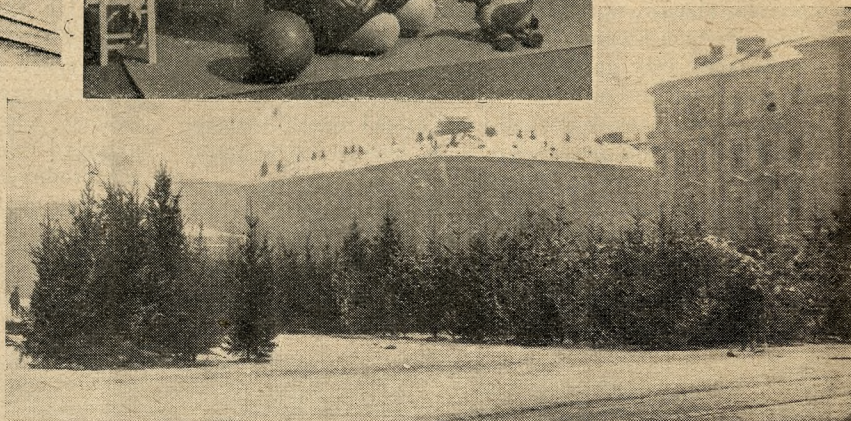
Aby choinka była naprawdę tradycyjna, trzeba ją pięknie ubrać, co teraz coraz częściej już robimy wspólnie z dziećmi, dając im sposobność rozwinięcia gustu i zmysłu artystycznego, wykonania samym oryginalnych ozdób, wzorowanych na stylu ludowym, lub innych, a nie przypominających niczem szkaradnej tandety szklanych świecidełek, przeważnie niemieckiego pochodzenia. Świecidła te były wogóle nabytkiem niedawno przeszłej doby złego smaku. Dawniej choinki ozdabiano przeważnie orzechami, jabłkami, piernikami i wybornymi marcepanami. Dziś jednak nie stać nas na takie zbytki, tembardziej, że trudno byłoby nawet, znając obecne



Tyle prezentów i uciechy.

Choinki jadą.

Tymczasowy las.



Tak się chodzi z szopką.

przepisy higieny, zjadać przysmaki, wiszące parę dni na choince, wystawione na kurz i bakterje. Ubieramy więc drzewko inaczej. A gdy już przejdzie wieczór wigilijny, nie miną jednak uciechy świąteczne; jedna z najmiłszych dla dzieci, to piękna szopka. Ta, którą widzimy na rycinie, to jedna z najbardziej malowniczych: — szopka góralska.

KOBIETA W SWIECIE I W DOMU

ZJAZD PIELEŃNIAREK.

W gmachu Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa (przy ul. Koszykowej Nr. 78), przy licznych udziałach członkiń, odbył się doroczny Zjazd Polsk. Stow. Zawodowych pielęgniarek.

Działalność Stowarzyszenia za rok ubiegły była następująca: Opracowano program kursów uzupełniających dla pielęgniarek społecznych; wybrano wykładowców, uzyskano fundusze na ten cel. Kurs rozpocznie się w styczniu 1931 r.; wykłady będą się odbywały 5 razy na tydzień w godzinach wieczorowych, za opłatą 20 złotych dla członkiń Stowarzyszenia. Prowadzono pismo: „Pielęgniarka Polska”. Poczyniono starania o przyspieszenie wejścia w życie ustawy o pielęgniarstwie.

Program działalności na rok następny zawiera przede wszystkim kontynuowanie działalności roku ubiegłego i dążenie do rozwoju i udoskonalenia pielęgniarstwa zawodowego.

W dniu drugim Zjazdu, po kilku referatach, rozpoczęła się ożywiona i długa dyskusja na temat szkolenia słuchaczek w szkołach pielęgniarskich, zarówno co do systemu, jak programu, oraz rozbudzania i wyrobienia idei zamilowania do swego zawodu.

Liczny Zjazd tegoroczny był nowym ogniwem, łączącym pielęgniarki, dążące do udoskonalenia swego zawodu, aby lepiej służyć Ojczyźnie i przyczynić się do zachowania w zdrowiu obywateli Rzeczypospolitej Polski.



Idą same na spacer.



Przysięga harcerek.

KSIEŻNICZKA KOMENDANTKA.

W Rumunji rozwija się intensywnie harcerstwo żeńskie. Górliwą jego opiekunką jest księżniczka Ileana. Rycina nasza przedstawia moment przysięgi zastępu młodych harcerek, składanej na ręce królowej.

Ś. p. ADELA SZCZEPAŃSKA.

W tych dniach zmarła w Warszawie ś. p. Adela Szczepańska. Zmarła była w młodości znaną w stolicy artystką skrzypczką, pierwszą kobietą, która ukończyła klasę skrzypiec warszawskiego konserwatorium. Uczennica Apolinarego Kątskiego i znakomitego petersburskiego artysty, profesora Auera, zmuszona została, z powodu węższego zdrowia, przerwać świetnie zapowiadającą się karierę. Wyszedszy za mąż, wyjechała do Samary, gdzie przez 25 lat była czynną i zasłużoną organizatorką kolonji wychodźców i wygnańców polskich. Powróciwszy do Polski, pracowała jakiś czas, łącznie z Mieczysławem Karłowiczem, w orkiestrze Warszawskiego Tow. Muzycznego. Ostatnie lata spędziła w zaciszu domowym. Ś. p. Adela Szczepańska była matką konsula generalnego Rzeczypospolitej, dra Aleksandra Szczepańskiego, którego żona jest współpracowniczką „Bluszczu”, oraz znanej pisarki Marji Kuncewiczowej, również cenniejszą naszą współpracowniczką.

Cześć pamięci zacnej polki.



Darniej nie śnie marzyli o radosnej wizji choinki — dzisiaj sami budują świeflany gmach wigilijnych nastroi.

ROZMYŚLANIA WIGILIJNE

Pań Tradycja jest w nielase, Jak rok długi, tęskni do życzliwych uśmiechów, tęskni do licznego dawniej orszaku szczerych wyznawców, którzy na wzór wasań bili jej korne pokłony.

Tron wielkorządczyni zachwiał się w posadach od huku armat, od nędzy, bólu, głodu, pożogi, w których męce nie było czasu, nie było chęci na rzut oka wstecz, na ciche wspomnień rozmodlenie.

A jednak, pomimo wykluczenia z nowoczesnych słowników pustego już dzisiaj napozór dźwięku „tradycja“, wraca co rok chwila, kiedy z przedziwną mocą puka ona do szyb, arabeskami mrozu ustrojonych, wkrada się przez szczelnie zatrzasknięte drzwi nowoczesnego sumienia, które jednym zamachem pióra, ferującego nowe prawa, skreśla z rubryk życiowych sentymenty.

A jednak, wbrew oczywistości, wbrew logice i wyrachowaniu, wbrew wszystkiemu, co cenia, do czego dążą nowi ludzie — wraca co roku, na trwanie jednego krótkiego wieczoru, do pełnych praw, jakie jej w ostanim lat dziesiątku bezapelacyjnie odjęto.

Wkrada się z zapachem świerczyny, z melodją kolend, z gwarem przygotowań świątecznych, z radością oczekiwanych i sprawianych niespodzianek. Jest coś z jej słodyczy w smaku domowego makowca, w bieli opłatka, w woni pierwszych, zakwitających

w dniu Bożego Narodzenia, hiacyntów, w stosach miśternie ułożonych bakalijs, a nawet w kolorowym maku, w lukrze i pieczętkach, zdobiących świąteczne pierniki.

Nie dzwoni oficjalnie do drzwi frontowych, nie wchodzi przez uchylone drzwi kuchenne, z poza których płyną skomplikowane zapachy świątecznej woni, nie pyta, czy „państwo w domu“, bojąc się nieżyciowego przyjęcia. W przedświątecznym tygodniu nikt nie ustrzeże się przed jej wszechmocnym wpływem i nie wie, kiedy, i jak, i skąd przyniesie ją ze sobą do domu i w ciepłe ścian najmilszych ogłosi nanowo tej przedziwnej królowej panowanie.

Wszyscy ci, co byli kiedyś piękni, młodzi i urokiem swym wszechmocni — w okresie zdetronizowanej starości, w okresie zamierania, umieją cenić okruczeństwa i okruczeństwa. Biorą go ze sobą na długie miesiące zapomnienia i samotności, jak światłość najmilszą, co raduje i ogrzewa. To też i ta wskrzeszona na chwilę w sercach ludzkich, dawniej tak wymagająca tradycja wie, że odejść musi z chwilą, kiedy zgasną ogniki na stojonej choince, a blade zimowe słońce przyćmi blask gwiazdy, wschodzącej na wigilijnym niebie.

Nie byłoby może tego pochylenia sztandarów przed tem, co wieki uświęciły, gdyby nie było



Choinki nie otacza już dzisiaj nimb tajemniczości. Nie przyniesiona przez św. Mikołaja, lecz własnymi ustrojona rączkami, jest jednak źródłem prawdziwej radości.

choinki. Ona to jest, która wszystko przetrwała i wszystko wskrzesić umie.

Nie otacza ją już dzisiaj nimb tajemniczości, nie jest nagrodą za dobre sprawowanie — nagrodą, przyniesioną przez brodatego św. Mikołaja, przez skrzydlate aniołki: jest rzeczą realną, niejednokrotnie nabytą za długo gromadzone oszczędności. Nie kryje się poza szczelnie zamkniętymi drzwiami salonu, do ostatniej chwili zaklęta w znak zapytania. Bardziej realna, a tem cenniejsza, że złożono na jej ołtarzu tyle dziecięcego trudu, zapobiegliwości, starań i nadziei, choinka współczesna staje się z roku na rok coraz wyraźniejszym przyczynkiem do samowystarczalności. Strojna w śliczne, zrobione w domu zabawki i łańcuchy, wolna od importowanych, kosztownych świecidełek, ubrana małymi rączkami, którymi kieruje gust i doświadczenie starszych, nie ustępuje w niczem romantycznej choince przeszłości, która objawiała się oczom dziecięcym w chwili, gdy zaczynały już przysłaniać je łzy zawieszonych nadziei.

Któż z nas nie odnajdzie we wspomnieniach tych długich chwil oczekiwania, tych gorzkich wątpliwości, co nękały wyobraźnię dziecka, w przeddzień i w sam dzień wigilji, kiedy odcięte chińskim murem od tajemnych przygotowań, wyol-

brzymiały swe małe winy, robiąc je odpowiedzialnymi za zagrożoną wizję choinki? Miało to dużo swojego uroku, kończyło się radością, przechodzącą w oszołomienie; ale czyż miało tyle uroku, co dzisiejsze budowanie — cegiełka po cegiełce — świetlanego gmachu wigilijnych nastroi.

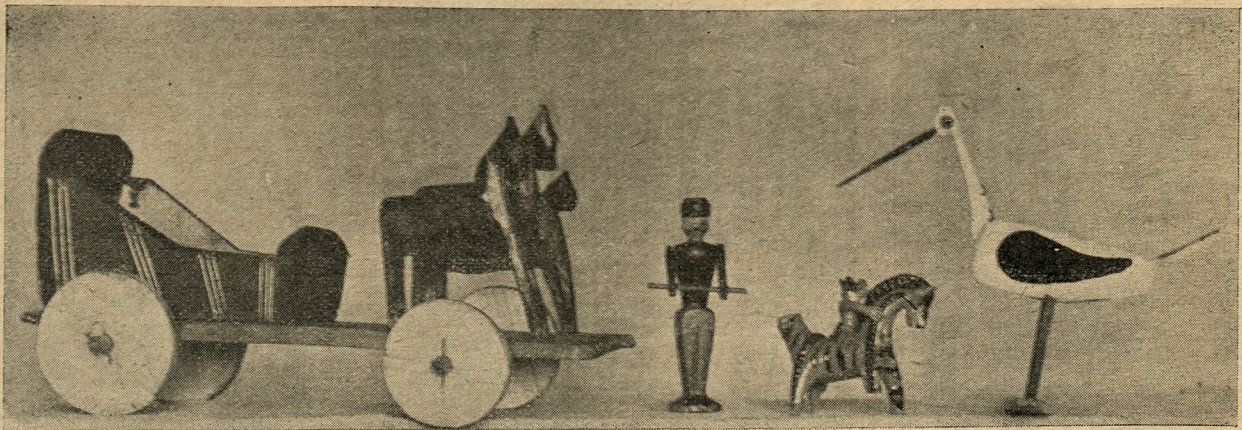
Może odpowie mi ktoś, co pamięta, co przeżył dawne, dawne dzieciństwo, że jednak pełniejszym było to szczęście, słane pod drobne nóżki, które deptały po niem niefrasobliwie. Tak, może. Ale dawne romantyczne choinki żarzyły się w epoce, kiedy ideałem było oddawać wszystko, nie żądając wzajemian nic dla siebie, a szczęściem najwyższym — móc spłonąć na stosie ofiarowanym dla ukochanych.

Że tam kiedyś później, kiedy nas już nie będzie, życie każe zapłacić za wszystko szczęście, za wszystkie nieokupione niczem uśmiechy, o tem nie myślał nikt, budując swoim dzieciom pałace z bajki. I to był najjaskrawszy kontrast pomiędzy „szczęśliwym dzieciństwem”, a życiem. Jeżeli w symfonji szczęścia i radości wigilijnego wieczoru brak dzisiaj nut mistycyzmu, jest ona niemniej pełna i doskonała i, co najważniejsze, przystosowana lepiej do życia, niż dawna, sztucznie wydmuchana, tęcza bańka, której czar był tak znikomy i krótki.

W. D.



Na placach wielkich miast Zachodu płoną choinki dla biednych dzieci.



ZABAWKI LUDOWE

Wojna, wypowiedziana przed laty zabawkarstwu zagranicznemu — w głównej mierze zabawkom masowej fabrycznej produkcji niemieckiej — przyniosła poniekąd zwycięstwo zabawkom krajowym. Jednakże po dziś dzień błąka się w zabawce polskiej naturalistyczny szablon — „made in Germany”. Przypisać należy z radością, że ów szablon czuje się coraz bardziej bezdomny i traci grunt pod nogami. Obyśmy jaknajrychlej rozstali się z nim na zawsze — i niech spoczywa w spokoju zapomnienia.

Wybór zabawki dla dziecka jest jeszcze trudniejszy, niż służenie przyjaciółce radą w dobieraniu kapelusza. Podczas gdy w drugim wypadku możemy kierować się według busoli własnego smaku — w pierwszym wypływamy, mimo wszelkie zdobyte doświadczenia, na wody, jeśli niezupełnie obce, to jednak i niezupełnie znane. Pomimo grubych tomów, zgłębiających psychologię dziecka, stajemy często wobec zagadek zgoła dezorientujących — szczególnie, jeśli chodzi o świat zabawy lat najmłodszych.

Wydaje się prawdą, potwierdzoną w praktyce, że dziecko nie jest zwolennikiem sztuki naturalistycznej. I w tem należy szukać punktu wyjścia, jeśli się chce rozjaśnić mrok tajemnicy, dlaczego zdarza się tak często, że w pokoju dziecięcym dostojne i strojne lalki-księżniczki Imogeny siedzą opuszczone, patrząc tępo przed siebie z wyrazem zapoznanej wielkości, zaś prostacka lalka Marcysia wprost upada pod ciężarem adoracji; dlaczego wspaniałe, pluszowe miś skazywany bywa na wieczny sen zimowy — a prymitywne ptaszek z gliny lub drzewa zostaje pasowany na faworyta. Dziecko rozstrzygnę-

ło z łatwością problem, którego nie opanowały jeszcze matki. Stwierdziło mianowicie, że nietylko rzecz kosztowna bywa piękna, sercu i oku miła.

Sztuka ludu, jako twórczość ludzi prostych, żyjących w ścisłym braterstwie z przyrodą, zdala od kaprysów przemijających mód i uświęconych szablonów, jest bliska duszy dziecka i dlatego ludowy przemysł zabawkarski winien zdobyć prawo obywatelstwa i uznanie w pokoju dziecięcym.

Zabawki ludowe przynoszą w przeciwieństwie do szablonów fabrycznych: realistycznego odtwarzania rzeczywistości — skrót prosty, plastyczny, harmonijny w kształcie a wesoły w barwie. Nic więc dziwnego, że do takiej zabawki dziecko uśmiecha się przyjaźnie i wita ją z zaufaniem.

Bazary Towarzystw Popierania Przem. Lud., istniejące prawie w każdym mieście wojewódzkim na ziemiach Polski, posiadają bogatą kolekcję takich zabawek. Są tam zabawki drewniane i ceramiczne, pięknie barwione i malowane; dowcipne i pogodne figurki, pełne swoistego charakteru. Zwierzęta oddane w kilku linjach wierniej (jeśli chodzi o istotę rzeczy), niż w najbardziej drobiazgowym opracowaniu rea-

listycznym. Oczywiście, należy odróżnić i unikać falsyfikatów i nieudolnych stylizowań pseudoludowości, których tak wiele spotyka się w sklepach z tak zw. sztuką ludową.

Cechą charakterystyczną prawdziwej sztuki ludowej jest wielka prostota i harmonijny kształt, ściśle związany z surowcem. Element ten znajdujemy również w zabawkarstwie ludowym i, dając dziecku taką zabawkę, nie popełnimy omyłki. L. R.



CERAMIKA KERNERÓWNY

Ceramika jest kunsztem starym, doprowadzonym już bardzo dawno do wysokiego stopnia doskonałości technicznej, wymagającym niesłychanego wyczucia materiału i większej, niż w innych działach sztuki dekoracyjnej, znajomości tajników rzemiosła.

Ostatnio w tej dziedzinie przedstawiła nam swój dorobek Henryka Kernerówna w Salonie Garlińskiego. Kolekcja jej prac ceramicznych i rzeźb, ciętych w miękkim japońskim kamieniu, świadczy o dwóch faktach. Jeden — to niezaprzeczony talent młodej artystki do wydobywania z materiału właściwego mu stylu i wyrazu; drugi — to niepotrzebne rozpraszenie i trwonienie tego talentu w drobiazgach, w pomysłach często banalnych, artystycznie nieusprawiedliwionych, użytkowo wątpliwych. Poco robić zwierzątka, popielniczki, wazy, bombonierki i lichtarze, o charakterze bezbarwno-międznarodowym, jeżeli się znalazło drogę do nieprzebranej i niewyzyskanej dotychczas skarbnicy naiwnego baroku polskich Madonn, świątków, żłobków, figur przydrożnych?

W tym świecie pół-ludowych, pół-stylizowanych prymitywów Kernerówna obraca się z całą swobodą jasnowidzącej intuicji, ożywiającej ten pozornie martwy świat legendy dynamiką wyrazu, zakłętą nietyle w rysach twarzy nieco zamazanych i traktowanych groteskowo, co w pochyleniu głowy, ruchu i pozycji całej postaci, geście, chwyconym w przelocie, udrapowaniu szaty.

Koloryt tych wszystkich dzieł jest przedziwnie stonowany; od intensywnych barw przechodzi do nieznacznie pastelowych odcieni. Coś pośredniego między świadomie archaizowaną patyną, a bezwiednie nowoczesną kapryśnością i dezinwolturą w posługiwaniu się efektami barw. Ciekawą jest rzeczą, że artystka wszystkie swoje prace wywala w zwykłym kaflarskim piecu w Tarnowie, bo nie stać ją na własny warsztat pracy.

S. P. O.



W NOC SYLWESTROWĄ

Zwyczaj spędzania nocy noworocznej na hulance i pijatce w restauracji przyszedł do nas ze Wschodu i, jak wiele zwyczajów, stamtąd zanożyczonych, podkopuje i tak już niezbyt mocne podstawy rodzinnego życia towarzyskiego.

Zasadniczo chodzi o spędzenie dobrze, i wesoło, i dostatnio pierwszych godzin Roku Nowego, gdyż dzięki utartemu przekonaniu, czy też przesądowi, rok cały powinien się tak ułożyć, jak się właśnie tę pierwszą noc przepędzi.

I porzucają ludziska ogniska domowe, i idą udawać, że się bawią po zadymionych knajpach, pomiędzy podpitymi ludźmi, bo niektórzy nawet noc całą spędzają na przejeżdżaniu z jednej restauracji do drugiej, aby być wszędzie i przez wszystkich widzianymi, aby zaznaczyć swą przynależność do bawiącego się świata.

A nie tak dawno jeszcze, jakże mile Rok Nowy spotykano po domach prywatnych, co dzisiaj coraz bardziej wychodzi z użycia, coraz rzadziej jest praktykowane!

Jako przyczynę zaniku tego rodzaju zebrań, podają duży koszt, połączony z ich urządzeniem: „pomyślcie tylko, ile teraz kosztuje jedna butelka szampana!” — słyszymy nieraz, na co zawsze możnaby odpowiedzieć, że ta sama butelka szampana, wypita w restauracji, kosztuje trzy razy drożej, tembardziej te kilka butelek, wypitych w kilku restauracjach kolejno, stanowią już tak pokaźną cyfrę, że nawet całą kolację (może nie z szampanem, lecz z innym dobrem winem) możnaby za nią wystawić. I czemu koniecznie mamy pić właśnie szampan — nawet, jako prognostyk, nie ma to znaczenia, bo po wojnie pija się to wino na pokaz — poza domem, lub w czasie specjalnych uroczystości — wesel, jubileuszów i innych tym podobnych obchodów.

Na Kresach Wschodnich, mających dużo obyczajów wspólnych ze wschodnią sąsiadką, nie w wigilię świętego Andrzeja, lecz właśnie w noc noworoczną jest zwyczaj wróżenia o przyszłych losach. Szczególniej z zapałem oddaje się tym wróżbom młodzież obojga płci. Więc lanie wosku i cyny, pytanie o imię pierwszego spotkanego przechodnia, sypanie ziarn pszenicy przed koguta, rzucanie bucika poza drzwi domu... Cięż wylanych figur ma wskazać wydarzenia roku najbliższego; imię przechodnia będzie imieniem wybranego lub wybranej; czyje ziarno pszenicy kogut najpierw zdziobie, ta panna pierwsza zamaż wyjdzie; w którą stronę czubkiem trzewik padnie, z tej strony konkurent przyjedzie i t. p.

Wieczór schodzi niepostrzeżenie, już i jedenaśta bije na zegarze, czas do kolacji.

Kolacja taka nie potrzebuje być ani gorąca, ani wystawna, ani zbyt długa: jakieś mięsne danie (podają dzisiaj trzy przepisy dań mięsnych, odpowiednich do takiej kolacji) zupełnie wystarczy. Następnie jakaś solidna legumina — proponuję angielski plumpudding, który może być przygotowany nawet na parę tygodni wcześniej, a podany w płomieniach, niesłychanie zawsze robi efekt; będąc zaś daniem smacznym i pożywnym zarazem, zaspokoi nawet większe apetyty; następnie czarna kawa, bakalje i owoce. Z uderzeniem godziny dwunastej — poncz lub gluwejn gorący, a jeżeli jest dużo młodzieży i zamiast partyjki i wróżb, tańce się ułożyły — to kruszon, orzeźwiający i niby

tak trochę przypominający szampana — ot i całe przyjęcie.

Tak lubimy naśladować zwyczaje zagraniczne. I we Francji i w Anglii życie rodzinne daleko bardziej jest rozwinięte, niż obecnie u nas. W domu angielskim i francuskim — a i jedni i drudzy są znacznie mniej od nas, polaków, gościnni — wilję Bożego Narodzenia i wieczór Sylwestrowy spędzają w gronie rodziny i przyjaciół. Naszej wilji coprawda nie znają, francuski „réveillon“ składa się z czarnych kiszek („boudins“) i z indyczki z kasztanami lub z truflami, Anglicy zaś swego indyka „turkey coq“ dopełniają plumpuddingiem i wybornymi ciastkami „mincepies“, w których połędwica wołowa i ozór marynowany rozczulająco się godzą z rodzynkami i smażoną skórą pomarańczową. Nikomu z ludzi, mających dom własny i rodzinę, nie przychodzi do głowy porzucać to wszystko dla włóczędzy po knajpach. Siedzi tam bohema, półświatek i ci, którym brak nie tylko własnego ogniska, lecz nawet takiego, cudzego, przy którym choć chwilowo ogrzaćby się mogli. Natomiast Niemcy i dawni, przedwojenni Rosjanie właśnie poza domem szukający rozrywek, oddawna przyjęli zwyczaj spotykania nowego roku w restauracji, czy w klubie. Czyżbyśmy właśnie od nich przykład czerpać mieli?

Słyszałam o kilku wypadkach, kiedy grono przyjaciół, lub dobrych znajomych, nie mogąc każdy pojedynczo urządzić dużego przyjęcia, składali się na jedno i urządzali je w największym z posiadanych mieszkań. Jest to dobry przykład do naśladowania. Byle nie ta ucieczka z domu do knajpy! *Pani Elżbieta.*

Z KOŁA STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Kole Studjów Gospodarstwa Domowego, które niebawem przekształci się w Związek Pań Domu, wre ożywiona praca.

Od chwili zamknięcia Zjazdu Zarząd zbierał się kilkakrotnie, radząc nad sprawami bieżącymi, sprawami bliższej i dalszej przyszłości Związku.

Wobec żywego zainteresowania dawnych i nowo-zgłaszających się członkiń, należało przedewszystkiem uregulować i wyjaśnić sprawę składek, których wysokość oznaczono na Zjeździe w kwocie 6 zł. rocznie. Z sumy powyższej 5 zł. przypada w udziale Oddziałowi, 1 zł. zostaje przekazany Centrali Związku Pań Domu.

Chcąc uniknąć nieporozumień, wynikających z różnicy pomiędzy wysokością składki, pobieranej przez Koło Studjów, a projektowanej przez Związek Pań Domu, Zarząd Koła Studjów Gospodarstwa Domowego podaje do wiadomości wszystkich zainteresowanych, że wysokość składki w kwocie 12 zł. rocznie, przewidziana przez statut Koła, pozostaje w mocy do chwili zatwierdzenia nowego statutu, obowiązującego

Związek Pań Domu. Raptowne obniżenie składek nie znalazłoby uzasadnienia prawnego, grożąc równocześnie podważeniem statusu finansowego młodej instytucji i ograniczając jej pole działania. W związku z Wystawą Gospodarstwa Domowego, zaprojektowaną na rok 1932, dokoła której prace organizacyjne Koło już podjęło, Zarząd otrzymał od Tow. Higjenicznego w Warszawie propozycję współpracy, czyli zorganizowania Wystawy wspólnymi siłami.

Komitet organizacyjny Zjazdu Pań Domu przekazał dalsze prace Komisji Organizacyjnej Związku Pań Domu, która w połowie grudnia zda sprawozdanie ze Zjazdu, przystępując równocześnie do opracowania Statutu dla Związku.

Instytut Gospodarstwa Domowego zgłosił swój akces do solidarnej współpracy ze Związkiem. Instytut rozpisuje konkurs na emblemat cechy dla zbadanych i aprobowanych przez siebie przedmiotów użytku gospodarskiego. Emblemat będzie równocześnie znakiem Związku Pań Domu i Instytutu Gosp.

Bezpośrednim wynikiem Zjazdu jest powstanie Oddziałów: w Łodzi, Katowicach, Krakowie i Sosnowcu. Dzielnice zachodnie, z Poznaniem na czele, projektują Zjazd regionalny Związku Pań Domu w Poznaniu, już z początkiem roku 1931-go.

Koło Studjów Gospodarstwa Domowego zwołuje, jak w latach ubiegłych, miesięczne zebrania plenarne, na których wygłaszane są referaty o treści ściśle związanej ze sprawami gospodarstwa domowego, urządzane są pokazy, oraz organizowana sprzedaż produktów spożywczych po cenach wysoce korzystnych.

Dn. 7 listopada na zebraniu plenarnym został wygłoszony przez pana Iwaskiewicza, Sekretarza Generalnego Związku Organizacji Rybackich, referat „O znaczeniu i produkcji rybactwa słodkowodnego“, w którym to referacie prelegent zobrazował znaczenie i rolę rybactwa słodkowodnego zarówno dla rynku handlowego, konsumenta, jak i dla aktywności bilansu handlowego. Pani Elżbieta Kiewnarska uzupełniła referat szeregiem praktycznych rad i wskazówek, zwracając przedewszystkiem uwagę na przyrządzanie ryb tańszych, które niesłusznie spotykają się z uprzedzeniem konsumentów.

Następne zebranie plenarne odbyło się w dn. 5 grudnia. Referat „O zastosowaniu elektryczności w gospodarstwie domowym“ wygłosił pan Oskar Chomicki. Uzupełnieniem referatu był pokaz przyrządów elektrycznych, które znalazły już szerokie zastosowanie w gospodarstwie domowym.

Zarząd Koła, pragnąc dawać członkiniom najwięcej korzyści praktycznych, postanawia wystrzegać się demonstrowania przyrządów, odznaczających się wygórowaną ceną, lub takich, których brak na rynku polskim.

Wstęp dla panów na zebrania miesięczne Koła jest dozwolony. Członkini, która z jakiegokolwiek przyczyn nie może wziąć udziału w posiedzeniu, jest upoważniona do przekazania swej karty członkowskiej mężowi.

Wszelkich informacji co do organizującego się Związku Pań Domu, spraw ściśle związanych z działalnością Koła Studjów Gospodarstwa Domowego, Kursów gospodarstwa domowego, gotowania gospodarskiego, gotowania wykwińskiego, gotowania dla chorych i rekonwalescentów — udziela Sekretarjat Koła Studjów, mieszczący się w lokalu Stowarzyszenia Ziemianek: ul. Marszałkowska 149 — tel. 682-03. *W. D.*

**Herbaty
luksusowe**

w luźnym opakowaniu
oraz paczkowane
światowych firm.

ze swych składów

Marszałkowska 89
Mazowiecka 5

KAWA

co godzinę
świeżo palona
poleca najtaniej

Teofil Marzec. 418

Już ze świeżych zbiorów

jest do nabycia w handlach
kolonialnych światowej
sławy

herbata angielska

Lyons'a

Składy: **TEOFIL MARZEC** Warszawa
Marszałkowska 89; Mazowiecka 5. 417

OD ADMINISTRACJI

Zdając sobie sprawę z doniosłej roli naszego pisma w domu polskim, chcemy, aby każda kobieta, niezależnie od swego budżetu, miała możliwość prenumerowania „Bluszczu“. W tym celu od 1-go stycznia 1931 roku

zniżamy prenumeratę

Od nowego roku więc „Bluszcz“ będzie kosztował:

miesięcznie zamiast	5 zł. 80 gr. —	5 zł.—
kwartalnie „	17 zł. 40 gr. —	15 zł.—
półrocznie „	34 zł. 80 gr. —	30 zł.—
rocznie „	69 zł. 60 gr. —	60 zł.—

Nr. pojedynczy — 1 zł. 50 gr.

Dla pp. nauczycielek, urzędniczek komunalnych i państwowych, oraz żon urzędników i wojskowych, które okażą służbowe legitymacje i prześlą lub wpłacą prenumeratę bezpośrednio do Administracji „Bluszczu“ — Warszawa, Pl. Zamkowy 9, lub na konto PKO Nr. 3.700 — prenumerata zniżkowa będzie w roku 1931 wynosiła:

miesięcznie zamiast	4 zł. 35 gr. —	3 zł. 75 gr.
kwartalnie „	13 zł. 05 gr. —	11 zł. 25 gr.
półrocznie „	26 zł. 10 gr. —	22 zł. 50 gr.
rocznie „	52 zł. 20 gr. —	45 zł. —

Pomimo tak znacznej zniżki „Bluszcz“ nietylko nie obniży poziomu, ale wprowadzi cały szereg wybitnych ulepszeń, które niewątpliwie będą należycie przez nasze Czytelniczki ocenione.

Czyniąc więc z naszej strony wszelkie możliwe wysiłki na drodze potanienia i ulepszenia pisma, jesteśmy pewni, że Czytelniczki nasze zechcą nam ułatwić tę ciężką pracę przez jaknajszersze rozpowszechnianie pisma w gronie krewnych, przyjaciół i znajomych, zjednymując nam tą drogą szereg nowych prenumeratorek.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

CHAUD-FROID Z PERLICZKI.

Perliczkę, oczyszczoną, jak zwykle, owinąć szerokim płatem młodej lub, kto woli, wędzonej słoniny i upiec, czy udusić. Wraz z nią udusić trzydzieści deka białej, delikatnej wątróbki cielęcej. Perliczkę wyjąć i ostudzić. Do pozostałego w rondlu tłuszczu wsypać dwie spore łyżki mąki, wlać szklankę dobrej śmietany i zagotować wszystko na bardzo gęsty sos. Wątróbkę cielęcą i perliczą, słoninę, w której się perliczka piekła, i sos ten przepuścić dwa razy przez maszynkę, zaprawić pieprzem białym, gałką, skórką otartą z pół cytryny i jej sokiem. Ucierać wałkiem na misce, dodać dwadzieścia deka najlepszego śmietankowego masła, nie przestając ucierać. Powinna się uformować gładka masa. Perliczkę pokrajać, jak zwykle, na części, każdy kawałek posmarować tą masą, poczem złożyć ptaka w całości i ułożyć na półmisku. Ubrać wkóło listkami zielonej sałaty: endywji, eskarolki lub roszonek. Resztę masy przelożyć do tutki papierowej, uciąć jej koniec i, wyciskając z ręcznic różnego rodzaju, ubrać tem cały półmisek.

ZIMNE MIĘSA W GALARECIE.

Dwa litry zwykłego rosółu z mięsa lub drobiu przecedzić, jeśli nie dosyć czysty, sklarować białkiem, zaprawić żelatyną, licząc po trzy listki na szklankę płynu. Wziąć pozostałe z obiadu kawałki drobiu lub zwierzyny, pokrajać na zgrabne kawałki.

Pozatem przygotować nieco mniej pasztetu, pokrajanego w cienkie plastry, jeszcze mniej ozora gotowanego w cienkich płatkach i mózg cielęcy lub wołowy, wymoczony, obrany z krwawej błony, ugotowany w wodzie z octem i solą i pokrajany jaknajcieńiej. Wszystkich mięs powinno być razem około półtora kilo. Prócz tego można przygotować parę jaj, ugotowanych na twardo i podzielonych na części, plasterki cytryny bez skórki, parę korniszonów czy grzybków, zieloną pietruszeczkę, jarzynki z rosółu, ładnie pokrajane karbowanym nożem. Do dużej formy, rondla lub salaterki nalać na palec galarety, zastudzić na lodzie. Na tem ułożyć listki pietruszki, cytrynę, korniszony; znów na palec galarety i zastudzić. Następnie kłaść rzędami wszystkie przygotowane mięsa, ozór i mózg stawiając naprzemian koło ścianek naczynia. Pomiędzy mięsem układać dodatki. Nakoniec zalać galaretą i wynieść na chłód na dwanaście godzin. Podając, wyrzucić na półmisek, ubrać wkóło sałatką zieloną lub jarzynową. Oddzielnie podać sos tatarski lub remuladowy.

INDYCZKA NA ZIMNO Z KASZTANAMI.

Dużą, lecz młodą indyczkę oprawić, jak zwykle. Wole i środek nadziać następującem nadzieniem. Pół kilo cielęcej i całą indyczką wątróbkę udusić na maśle, dodać dwadzieścia deka młodej słoniny i tyleż łagodnej cebuli, kilka ziarn pieprzu, ziela, dwa goździki, pół listka. Masę tę przepuścić dwa razy przez

PANIE UZYWAJĄCE TAKĄ



MIAFLOR KREM, PUDER, MYDŁO, PERFUMY

WYRÓŻNIAJĄ SIĘ DELIKATNĄ CERĄ I POWABEM

PREMJE DLA CZYTELNICZEK „BLUSZCZU“

ZWYCZAJEM LAT UBIEGŁYCH PRZYGOTOWALIŚMY I W TYM ROKU CENNE UPOMINKI DLA NASZYCH STAŁYCH PRENUMERATOREK. UPOMINKI, KTÓRE NAPEWNO URADUJĄ KAŻDĄ Z CZYTELNICZEK.

Posłuchajcie!

kto wniesie wprost do naszej Administracji 30 zł. t. j. półroczną prenumeratę „Bluszczu“ opłaconą zgóry

OTRZYMA, JAKO BEZPŁATNĄ PREMJE, JEDEN Z NASTĘPUJĄCYCH PRZEDMIOTÓW DO WYBORU:

- 1) MODNY NASZYJNIK (paciorki), odpowiedni do każdej sukni i niezbędny dla każdej eleganckiej pani;
- 2) Zaczętą, z dołączonymi dodatkami, SERWETKĘ na talerz od chleba;
- 3) Znany ze swej dobroci KREM DO RAK, wyrobu firmy Fr. Puls, w Warszawie;
- 4) FLAKON znakomitej WODY KOŁOŃSKIEJ — PULSA.

Przesyłając prenumeratę, należy koniecznie wymienić, którą premję pani wybiera, gdyż w przeciwnym razie wyślemy podług naszego uznania.

Niezależnie od tych premij **każda 20-ta** prenumeratorka, z pomiędzy wpłacających roczną prenumeratę **otrzyma prześliczne wydawnictwo „Sztambuch-Skarbnica romantyzmu“** w opracowaniu **St. Wasylewskiego.**

Każda **setna, dwuchsetna i t. d.** otrzyma arcydzieło M. Grossek-Koryckiej p. t. „Świat Kobiety“.

maszynkę, poraz drugi dodając dwie bułeczki (warszawianki), wymoczone w mleku lub wodzie; wymięszać doskonale, osolić, dodać łyżkę cukru i dwa jaja całe. Oddzielnie ugotować kilo kasztanów, obrać z łupin, starając się je zachować w całości. Zmięszać z resztą farszu, nadziać indyczkę i upiec, jak zwykle. Najlepiej ją upiec na dzień przed użyciem, aby farsz się dobrze uleżał i nie kruszył przy krajanii. Dzieliąc indyczkę, farsz w wolu krajać wraz z mięsem, a farsz wewnętrzny wyjąć, pokrajać w cienkie plastry i obłożyć nim wokoło pokrajaną i w całość ułożoną indyczkę. Można do takiej indyczki podać sos majonezowy, lub też kompot owocowy.

PLUM-PUDDING — PRAWDZIWI ANGIĘLSKI.

Czterdzieści deka czerstwej, tartej bułeczki, tyleż jaknajdrobniej usiekanego wołowego nerkowego łożu zmięszać na równą kaszkę. Dosypać tyleż cukru, tyleż koryntek, tyleż sultanek, nieco gałki muszkatołowej, sześć jaj całych, dwadzieścia deka smażonej skórki pomarańczowej po połowie z cytrynową, dwadzieścia deka migdałów słodkich i dziesięć sztuk gorzkich, drobno utartych, szklankę rumu lub araku i sporą łyżeczkę soli. Wszystko starannie wymięszać z łożową kaszką. Uformować dużą gałkę, zawiązać w serwetę, grubo wysmarowaną masłem (pozostawiając nieco miejsca, aby budyń mógł rosnąć). Przywiązać

do kija, który położyć na brzegu rondla, wypełnionego wrzątkiem. Uważać, aby gałka była zanurzona w wodzie. Gotować równo, ale wolno, 5 do 6 godzin.

Budyń ten jest konieczną potrawą w każdym domu angielskim w czasie świąt Bożego Narodzenia. Proporcja ta jest bardzo duża, starczy jej na trzy lub cztery razy dla rodziny, składającej się z 5 — 6 osób. Można taki budyń konserwować na chłodzie przeszło miesiąc i potrochu przygrzewać. Podaje się go z sosem szodonowym lub czystym winnym. Budyń, ułożony na półmisku metalowym, posypuje się cukrem, polewa obficie rumem i zapala w chwili podania, co bardzo efektownie wygląda. Budyń taki nadzwyczaj nadaje się na czas świąteczny, kiedy przyjemnie mieć na zawołanie gotową leguminę, nie przeciążając pracą służby.

GLINT-WEJN.

Napój mocno rozgrzewający, mniej kosztowny od innych, gdyż jest wyborny, przyrządzony z krajowego, czerwonego wina. Łaskę cynamonu, pół gałki muszkatołowej, dwanaście goździków, kilkanaście ziarenek kardamonu i dwa kawałki pokruszonego imbiru zagotować w litrze wody, nakryć płótnem i pozostawić tak z godzinę, aby naciągnęło. Wsypać czterdzieści deka cukru, (więcej lub mniej zależnie od gustu), wlać dwa litry wina czerwonego, ogrzewać, aż zacznie mocno parować, lecz nie gotować. W chwili podania wlać szklaneczkę araku lub rumu. Gorące nalewać w szklaneczki i pić, zanim ostygnie.

KRUSZON MUSUJĄCY.

Dwie malinowe pomarańcze pokrajać wraz ze skórką na cienkie płatki, posypać szklanką cukru, zalać szklaneczką (szampanką) araku lub rumu, wymięszać i dać razem naciągnąć. Na chwilę przed podaniem włożyć w wagę pół kilo porąbanego w duże kawałki lodu, wlać dwie butelki białego wina (typu reńskiego lub sauternes) i tyleż dobrej limonjady cytrynowej lub pomarańczowej. Natychmiast nalewać w szklaneczki, aby napój nie przestał musować. Chcąc mieć kruszon mocniejszy, dodać szklaneczkę konjaku. Limonjadę brać z dobrze znanej, sumiennej firmy, gdyż lichy jej gatunek może zepsuć cały napój.

Pani Elżbieta.



CUKIER KRZĘPI

Gospodyni dba o zdrowie rodziny, ale i o związaniu końca z końcem.

I tu jej sprzymierzeńcem jest CUKIER.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“, Warszawa, Rymarska 8.

Nasza Mównica

A gdy niemożna?

Piąty rocznik „Bluszczu“ już wnet dam oprawić. Pięć lat, to kawał czasu, można się żyć i przywiązać. A teraz dzięki naszej „Mównicy“ można się i wypowiedzieć. Jakże wiele różnych ważnych, bolesnych i radosnych spraw i zagadnień omówiono, ile wyjaśniono! Brałam żywy udział, pilnie czytając; a czasem łączyłam i swój głos. Ile poglądów dało się ugruntować, ile poznało się walk duchowych kobiety! Patrzyło się na świat oczyma kobiet, postawionych na różnych, czasem wprost przeciwnych biegunach życiowych; patrzyło się przez niejedno okno, dotąd zawarte lub niedostępne. Wiele otuchy dała świadomość, że setki kobiet myślą i czują podobnie, jak my.

Ostatnio przeczytałam artykuł: „Straż nad Bałtykiem“. Poruszył tak palącą kwestję, że trudno przemilczeć. Polskie morze, podstawa naszego bytu i naszego rozwoju. Jakże ślicznie ujęte! Zbliżyć się trzeba, poznać, a pokochasz to nasze morze, nadewszystko zaś współrodaków, zamieszkujących wybrzeże.

Lecz tu nasuwa się pytanie, śmieszne może, a może wstydlive: „A gdy nie można“?

Zdaje mi się, że niema kobiety polskiej, którejby serce nie rwało się do Pomorza, a oczy nie zwracały ku morzu. Ale jakże niewiele kobiet, nawet ze sfer inteligentnych, mogły je poznać. Bo na gościniec życia kobiety los rzuca raz poraz ostre głazy, które systematycznie wtłacza nam w duszę. Trzeba stać, nie spuszczać czujnych oczu, z toczących się głazów i młotem zbijać ostre kanty. Gdy przeoczymy, głazy poranią śmiertelnie.

Trudno więc kobiecie zejść z posterunku. Co w takim razie ma robić polka, obywatelka, którą porywa chęć pracy nad budową Ojczyzny, a umysł i serce pragnie wziąć czynny, bezpośredni udział w sprawach społecznych? Czy powinno jej to wystarczyć, że, chroniąc swoje gniazdo, wychowując swoje pisklęta na dobrych obywateli, płaci należyty dług sprawie ogólnej? Ale jakże wychować dobrze, nie biorąc bezpośredniego udziału w sprawach ważnych i tak aktualnych?

A gdy nie można, ze względów materialnych, czy innych, pojechać tam nad morze, to trzeba szukać czegoś, co nam do naszych ustronnych gniazd to morze i tych kochanych pomorzanków sprowadzi. Trzeba poszukać pośrednika, któryby ich duszę, ich potrzeby poznał do gruntu, umiał nam z należytej strony pokazać wybrzeże, jego mieszkańców i wskazał również, jaki stosunek powinien nas łączyć z Pomorzem.

I tu, gdy nie można własnymi oczyma i duchem przeniknąć i zbliżyć się do Pomorza, wzywa kobieta starego przyjaciela, który ją przez tyle lat kształcił, objaśniał i pocieszał: książkę. Gdy chodzi o Pomorze, to zdaje mi się, że powieść Bandrowskiego, p. t. „Zołojka“, daje nam obraz tak wyraźny, zbliża nas do ludu pomorskiego, odsłania jego duszę, że książka ta dziś, w miesiącu Pomorza, powinna się znaleźć w ręku każdej kobiety.

Drugą ważną nicią, wiążącą nas z Pomorzem, byłaby wzajemna korespondencja z kobietami z Pomorzem. Ta wymiana myśli z pomorzankami da jeszcze jedną, naprawdę niezastąpioną wartość... rozsypie w gruz przesady i uprzedzenia dzielnicowe. Już to bez przesady powiedzieć można, że uprzedzenia te po dzień dzisiejszy istnieją.

A tymczasem, jak tu, tak tam, żyją dzielne polki, kobiety wielkiej wartości, złączone wspólnym ideałem miłości Ojczyzny, którym z duszy tej miłości żadna niewola, ni przemoc wydrzeć nie zdołała. Pewne uprzedzenia wzrosły wskutek braku wzajemnego zżycia się i poznania. Oddawna też powinny staraniem się rozdartych ziem naszych. Dlatego zbliżyć się nam trzeba, poznać, a tak się zżyjemy, tak, nietylko my, lecz dzieci nasze przyrosną do polskiego morza, że prędzej Bałtyk wyschnie, niż Polaków od wybrzeża da się oderwać.

Niechże więc te pomorzanki, które czytują Bluszcz, a jest ich napewno wiele, napiszą do naszej Mównicy. Niech nam powiedzą o swoim życiu, pracach, obyczajach, niech podzielą się z nami radością lub kłopotami. Zaczynijmy wymianę myśli i serc.

Hanka z Małopolski.

To musimy umieć.

Już dwa lata temu pisałam w „Bluszczu“ na temat udziału kobiet w obronie, na wypadek wojny. Mówi się ciągle o obronie „ludności cywilnej“, a ta ludność cywilna w czasie wojny, to właśnie kobiety.

Nowe środki bojowe i nowy w związku z tem system obronny wprowadził w technice wojennej zmianę tego rodzaju, że używszy słów płk. Jasińskiego, rzec można: „niema dziś armji walczących, są tylko walczące narody“. Dodam jeszcze: niema dziś mężczyzn walczących: cała ludność musi brać udział w obronie.

Rola kobiety jest doniosła, tak doniosła, że aż dziw bierze, żeśmy tego jeszcze nie zrozumiały. Na wypadek wojny, byt rodziny, a zatem i Państwa, zależy od tego, jak podczas pokoju kobieta do obrony się przygotowuje.

Stawiam pewne dezyderaty, które mają znaczenie koniecznych potrzeb chwili: 1. Wszystkie stowarzyszenia kobiece, bez względu na ideologję i wiarę lub niewiarę w wojnę, powinny szkolić swe członkinie w obronie przeciwgazowej. Odczyty mogą wygłaszać zaproszone prelegentki (ci), lub też Zarząd może polecić kilku członkiniom zapoznanie się z zasadami obrony w celu pouczenia drugich. Przewodzący i sprzęt przeciwgazowy dla pokazów można uzyskać w Czerwonym Krzyżu, w LOPP. i t. d.

2. Panie, nienależące do Stowarzyszeń, powinny na własną rękę wyuczyć się tajników obrony, literatura jest wcale zasobna; najlepsza, najogólniejsza ze znanych mi książek jest por. Marynowskiego: „Obrona przeciwchemiczna ludności cywilnej; niestety narazie wyczerpana, trzeba by zrobić jaknajprędzej drugie jej wydanie.

3. Każda gospodyni domu powinna mieć w swej bibliotece podręcznik obrony, tak, jak posiada podręcznik higieny, ratownictwa, encyklopedję i zbiorek ulubionych poezyj.

4. Każda kobieta powinna być członkiem LOPP., bo zbiorowy wysiłek zapewni szerszą akcję (50 gr. miesięcznie), doraźnie zaś należy pomagać jaknajintensywniej w budowie szkoły dla instruktorów (Chmielna 27 — Kom. stoł. LOPP).

5. W sejmie przez posłanki należy domagać się przeprowadzenia ustawy o odpowiednim do obrony budownictwie (schrony w piwnicach, wentylatory

specjalne w mieszkaniach) i o racjonalnej przebudowie domów starych.

6. Domagać się, a przynajmniej (jak to miało miejsce w Radomiu) nie przeszkadzać w urządzaniu próbnych napadów gazowych.

7. Domagać się przymusowego przeszkalanania młodzieży szkolnej żeńskiej.

Do obrony przeciwchemicznej przygotować się można tylko podczas pokoju, ze względu na charakter techniki wojennej i ze względu na nowość broni (gazy). Użycie gazów, jako środka bojowego porównać można w dziejach ludzkości tylko z wynalazkiem broni palnej. Nowość tej broni, która wspiera rozwój lotnictwa, daje poważne obawy, iż w razie wybuchu wojny, powstanie panika, zbiorowa choroba, zdolna sparaliżować wszelkie mądre poczynania. Tym, którzy (-re), nie chcą wojny „wywołać”, propagując politykę strusia i chowając głowy w piasek, nie chcą słyść o przygotowaniach, pragnę powiedzieć, że brak przygotowania ośmieli wrogów do wojny, sprężyste zaś, światłe i wyczerpujące pouczenie ludności o zachowaniu się przed, podczas i po ataku, które musi dojść do wiedzy naszych nieprzyjaciół, jest jedyną gwarancją, że wojny nie będzie, lub, że nie zacznie się ona prędko.

Jedną mam tylko prośbę narazie: przeczytajcie Panie moje słowa uważnie, kupcie sobie jedną z broszur LOPP., czy Szkoły Gazowej; napewno reszta moich życzeń przyjdzie sama przez się. Ja obronię siebie i swoją rodzinę choćby dziś atak gazowy mnie spotkał a czy Panie mogą to powiedzieć o sobie?

Zofja Dzieciolomska-Brykalska.

Nowa placówka.

Co tu dużo mówić na temat, czy kilka godzin w miesiącu, podarowanych społeczeństwu, przynosi korzyść ogółowi, czy nie? Aby mówić, trzeba się nacznie przekonać, jak się co robi i co z tego jest. Gdy się weźmie pod uwagę te okruszyny godzin, rzuconych na szalę potrzeb społecznych, przy stałym wysiłku pracy zawodowej lub domowej, to serce w piersi młotem wali z radości, człowiek pełen podziwu staje i myśli, widząc plon pracy, widząc drobne okruszki godzin, zlepione w realną całość. Pięknie bowiem wygląda gmach solidarności kobiecej, skonsolidowanej we wspólnej pracy nad aktualnymi potrzebami społecznymi.

Dzięki właśnie tym okruszynom pracy, tym godzinom, darowanym przez członkinie Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet i Koła Rodz. Polic. w Krasnymstawie, powstało przedszkole. Zamiar zorganizowania przedszkola istniał już dawno, jednak względy natury finansowej paraliżowały realizację projektu.

Na wszystko jednak jest rada przy dobrych chęciach, więc i tym razem zwalczono przeszkody, pokonano przeciwności i w dniu 1. grudnia r. b. dokonano inauguracyjnego otwarcia nowej placówki.

Poświęcenia dokonał ks. prałat Malinowski i w krótkich słowach powitał przedszkole, życząc pomyślnego rozwoju. Następnie z zaproszonych przedstawicieli władz i instytucji pierwszy przemówił p. starosta Fiala. W treściwych, a ważkich słowach wyraził radość z racji powstania przedszkola. Podkreślił przy tym, iż w Anglii dawno zrozumiano, czym jest przedszkole dobrze zorganizowane, jakie ono świadczy usługi, to też całe państwo pokrywa sieć wzorowo prowadzonych freblowskich szkół, w których dzieci pod kierownictwem sił fachowych wra- stają w duchu obywatelskim. Na zakończenie życzył członkiniom wytrwałości w poczynaniach, a licznie zebranych przedstawicieli różnych instytucji i rodziców dziatwy wzywał do współpracy w tym kierunku. Wreszcie prof. gimn. p. Bąk powitał z zadowoleniem

tak realny wyczyn pracy członkiń, które, odrywając się od codziennych zajęć, stanęły na wysokości zadania. Otucha wstępuje w serce, gdy się widzi kobietę polską na właściwym gruncie ducha czasu. Boć ta naporoz mała placówka spełniać będzie wielkie zadanie społeczne.

W odpowiedzi przewodnicząca Związku Pracy Kobiet, p. Staroscina Fialowa, w miłych słowach podziękowała zebranym za łaskawe przybycie i poparcie przedszkola.

Nadmienić należy, iż w lwiej części Krasnystaw zawdzięcza powstanie przedszkola niezmordowanej pracy p. Fialowej.

Co podczas tych przemówień działo się w małych serduszkach, co w główkach dziecięcych, trudno orzec. Oczy jednych patrzyły w dal z wielkim zamyśleniem, inne tuliły się do matek. Radość i swoboda zapanowały dopiero, gdy starsi opuścili „szkółkę”, a 50 drobnych istot obsiadło stoliki, zabawiając się lalczkami, słupkami i t. p. Ileż tam było gwaru, radości i zajadania się przygotowanymi słodyczami.

Prowadzenie przedszkola powierzone zostało fachowej sile, to też należy się spodziewać pomyślnego rozwoju tej pożytecznej placówki.

Pola Parłowska — Krasnystaw.

O przyjaźni (w odpowiedzi p. H. Spoczyńskiej).

Przyjaźń, ja sędzę, jedno ma wspólne z miłością: tendencję do wyłamania się z opłotków swego własnego, ciasnego „ja”. W tem jej wartość, jej bogactwo.

W przyjaźni różnopłciowej niebezpieczeństwo, mojem zdaniem, to właśnie tylko owo zakłamanie: tchórzliwa negacja, czasem może naiwna negacja przymieszki erotyzmu. Falsz zaś jest zawsze czemś podłym i upokarzającym.

Przyjaźń pomiędzy dwojgiem ludzi młodych, o sercu niezaangażowanym gdzieindziej, oczywiście, może łącno przejść w miłość, tak, jak przy wszelkiem, bliższem obcowaniu ze sobą. Jest to fizjologiczna możliwość. Jeżeli w przyjaźni łatwiejsza, niż na innym terenie, to przez to chyba, że otoczenie zwykle widzieć tu erotyzm, nawet gdy go absolutnie jeszcze niema, i sugestia działa.

W życiu mojem afektywnem przyjaźń grała ogromną rolę. Miałam przez szereg lat przyjaciółkę (do jej śmierci), mam przyjaciół obojej płci, ale ani jednego wypadku „zakochania się” jednej ze stron. Tyle o doświadczeniu z własnego życia.

Czy, żeby stało się inaczej, gdyby przyjaciel i przyjaciółka pokochali się i ewentualnie pobrali, czy to nie byłaby właśnie najbezpieczniejsza miłość i najbezpieczniejsze małżeństwo?

M. B. z Lubelskiego

Musicie o nas pomyśleć.

Ze zdziwieniem skonstatowałam, że Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, tak rozgałęziony w Rzeczypospolitej, nie ma dotychczas oddziału w Królewskiej Hucie. A organizacja ta miałaby tak wiele do zdziałania na terenie Śląska i tak jest tu potrzebna, ze względu na uświadomienie obywatelskie ślązaczek, które są, jak wiadomo, wszelkimi sposobami odciągane od Macierzy przez niemców. Informowałam się specjalnie w urzędzie policyjnym, czy nie zarejestrowano tam oddziału Związku; myślałam, że jest może w fazie organizacji. Nie, nie istnieje wogóle. Jest to wielka szkoda i dlatego chciałam zawiadomić o tem panie, a w szczególności panią Janinę Strzelecką, która tak świetnie umie organizować; niech pomyśli o stworzeniu u nas oddziału, który jest bardzo potrzebny.

J. Ł. — Królewska Huta

